



O GŁUPIM GAWLE.

KLECHDA NIEMĄDRA.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ NASTĘPNY.

Szaweł pocieszenia szuka, a znajduje zawstydenie. Wtedy w umyśle jego budzi się pytanie: co też korzystniej, czy być kochanym, czy straszonym? Ostatecznie: kto się tego stracha przestraszył?

Zrozpaczony, poszedł na pocieszenie do pewnej swojej znajomej. Na imię jej było Janina.

Raz ona miała takie zdarzenie, że kiedy siadła na ławce w ogrodzie (świeżo je wtedy ogłoszeniami pomalowano), to kiedy wstała, każdy mógł na jej plecach czytać: Janina do najęcia. Pośpieszam dodać, że to miały być *pianina*. Zdarza się bowiem, że człowiek, nie wiedząc o tem, siadzie w dalszym ciągu — rzecz to trafu — zwłaszcza, jeśli poprzednie miejsca już zajęte. Zresztą, czyż to siedzenie zdobić ma człowieka?

Panna to była wcale przyzwoita. Bywali u niej: i naczelnik reporterów, i redaktor, i nawet nakładca, tylko że każdy (ona mówiła »kuźden«) innemi drzwiami.

Otóż, kiedy do niej przyszedł Szaweł, ona powiada:

— Mój złocisty (mówiła mu ty, tak sobie przez prędkość) pożycz mi na chwileczusie twojej szczoteczki. Tylko sobie grzywkę przed zwierciadłem przyglądzę. Jak Bożę kocham, zaraz ci oddam.

Wzięła tedy ona szczoteczkę, ale czy myślicie, że oddała? Gdzie tam. Nawet nie dosyć na tem, bo kiedy Szaweł spróbował odebrać, ona krzyknęła, i w te pędy wpadli nie wiedzący jeden o drugim: nakładca, redaktor i naczelnik reporterów i — wzajemnie źli za to na siebie — wszyscy trzej huzia dopiero na Szawła:

— A ty człowieku nie moralny! ty taki a taki! będziesz tu na niewinność czyją podstępnie godził?!

Schody były strome choć marmurowe, a na dole stał »rycerz miotły«, rozmawiający z »rycerzem bata«, i tu dopiero spadły mu na plecy połączone ich oręża.

Więc Szaweł wyrzuciwszy z piersi górne *c*, jał grać nogami jak ballerina, sunąc po Syrenim grodzie aż do salonu letniego, kędy bny w tem do kamienicznika, kiedy go ojcowie miasta o podatki dławia, a on ma lokatorów, którzy tylko bez-



Miesiąc październy,
Marca obraz wierny.



Gdy nie rychło liść opada,
Zima wielka bywa rada.



Babskie lato czasem się opłaci,
Lecz od Judy, już są grudy i ciepło
[się traci.



w alei westchnień dopadłszy ławki z napisem: »Obicia w najświeższym guście«, zadumał się pochmurno, podobnie mieszkać nawykli.

Z dumania jego to wypadło, że nie mogąc już dłużej być kochanym, postanowił stać się groźnym.

W tym celu począł odtąd chodzić po mieście i radzić sobie w sposób mniej więcej następujący:

Oto, dajmy na to, fabryka w gorączkowym ruchu. — Przyszedłem ostrzedz szanownego pana, że polecono mi w obszernym memoryale zwrócić uwagę władzy na przeciążanie pracą słabych kobiet i niewinnych dzieci. Zbieram właśnie statystyczne do tego dane.

To znowu w sklepie! — Sąsiad pański zamówił u mnie sążnistą reklamę, ale ja należę do ludzi bezstronnych. — (Toż samo u jego sąsiada).

Indziej znowu: — Wszak to jest pański, jeśli się nie mylę, ten skład benzyny pod schodami? — (Tu odrazu dwóch w obrocie: składnik i właściciel kamienicy).

Wreszcie, przy nowem jakimś budowaniu: — Czy mogę prosić o adres rękodzielni, w której się wyrabia podobnie krusząca się w palcach cegła? — (Tu już trzech nawet, bo i cegielnik, i budowniczy, i przyszły władca gmachu — zanim go, wzięwszy pożyczkę, czempredziej nie sprzeda).

Rozpisywał też listy (beziemienne, jako w imieniu nędzy wstydzającej się żebrać), w których nieodmiennie wychwalał znaną szeroko szczodrobliwosć Jaśnie Wielmożnego — o! jakże różną od nagannego skąpstwa brudnych dusigroszów, którzy ani z urodzenia, ani z powołania, ani z przewagi cnót rozlicznych, przywłaszczono jednak w społeczeństwie zajmują stanowiska.

Czas jakiś znano się, jak to mówią, na rzeczy.

Ale w następstwie, przekonawszy się, że Szaweł był jak Herod w szopce, człowiek brzydki (niestety! nie miał już swej szczoteczki!) zbiorowo polecono go oględności stróżów bezpieczeństwa publicznego, skutkiem czego z nienacka dostał się do ula, a ztamtąd w czas pewien do Pawiaka, aż dopóki nie udowodnił, że jego dobre chęci nie stały w sprzeczności z takimiż chęciami innych prócz niego osobników. I oto, jaki był koniec wielce dbalej o ład społeczny doli, odkąd, wśród wichrów żywota, przestało ją przyglądać czarodziejskie pieścidełko.

ROZDZIAŁ NASTĘPNY.

Cholewa, po której poznać można pana. Trzy tego państwa cechy: okazałość, wesołość — i wreszcie...

Drugi z rzędu syn pomienionej baby imieniem Paweł, dostał w dziale but milowy. But co prawda schodzony, ale za to z cholewą, jak było w czasach, kiedy to po cholewie poznawało się pana.

To też Paweł miał w sobie żyłkę pańską, chociaż, przez postępowość, a po części i z fantazyi, handlowi się był poświęcił.

— Kantorzystą był? — spytacie. — Gdzież tam. W kantorze on niby pewną liczbę godzin odsiadywał, ale właściwie doradcą bywał, pośrednikiem, oraz pilnym stróżem spraw cudzych przeróżnych.

A wszystko to bardzo z partesą.

Więc też nie dziwota, że okazałość lubił, wesołość, w końcu wreszcie nieobecność ukochał.

Dla okazałości dorożkami tylko dwukonnymi po kawalersku wyśpieszał; u Stępka przebredzał; na w randzie u Lursa do literatury i do sztuki się przysiadł; w owocarni ogrodowej zwykle go wszyscy oglądali; w teatrze (przez posłańca tylko) w pierwszym rzędzie zawsze miał miejsce, na które przychodził porządnie po zaczęciu przedstawienia, a wychodził znacznie przed jego końcem, ziewając.

Przez wesołość zaś, za cyrkami przepadał. Tam, z woltyżerkami, berajterami, z końmi nawet, bywał ty a ty; do stajni kiedy chciał wchodził, również i do garderoby; profesor osvajania zwierząt po ramieniu go klepał. Jednocześnie w Marcellinie i na Promenadzie czekały na niego dorożki, w które na chybił trafił wskoczywszy gorączkowo, po ogródkach wszelakich własnoręcznie potem klaskał, wracał zaś z innych jeszcze miejsc nad ranem, silnie upojony wrażeniami, tak, że nie zawsze trafił do siebie. Taka to była jego wszędzie wszechobecność!

Co się zaś tyczy nieobecności jego tam gdzie potrzeba, to się o tej na końcu dopiero powie.

— Zkąd on brał na to wszystko? — spytacie. — Zkąd mógł i gdzie tylko dawano. Czasem nie zupełnie brał, tylko pożyczał; czasem nawet skromne poręczenie tylko na wekslu przyjął — o! już to on był bardzo łatwy w pożyciu. Paniczykom różnym niepełnoletnim przodował, mnóstwo przydatnych rzeczy stręczył, z paniami starszemi wreszcie stosunki miał rozległe. Te, interesa mu swoje powierzały, i on dobrze na tem wychodził. Doprawdy, pracowite on prowadził życie. Przez telefony (nie koniecznie o handlu) bardzo dużo gadał, posłańcy wszyscy nisko mu się kłaniali. Mówiono nawet: że był nieco za ciekawy i odrobinę za gadatliwy.

ROZDZIAŁ NASTĘPNY.

.... i wreszcie nieobecność. Z kiosku do Tambowa i z powrotem. Nie jeden, ale dwaj marnotrawni synowie, i nie tłusty cielec, ale chuda koza.

Takim tedy wogóle będąc, miał znajomą pewną pannę z kiosku, tuż przy uczęszczanym chodniku, w pobliżu wielu delikatesowych (poprawnie: z łakomstwami) zakładów.

Ścisłej rzeczy biorąc, nie była to już panna, tylko młoda wdowa, z Przeciągalskich Podrygalska, tak przynajmniej opiewały jej bilety, do robienia wizyt w domu tym, co ją na ulicy odwiedzali. Czy mąż tej damy istniał kiedy? — nie wiadomo, ale są na świecie różne męże, wśród nich także i Podrygalscy zdarzać się mogą.

Osoba to była przy powabach swoich wcale postępową, jakbądź z pozorów, w szczupłym zakresie okrągłej budki, dnia życia swego spędzała. Paweł niejednokrotnie na szersze widnokreśli wywabił ją ztamtąd pragnął, ale ona z lekceważeniem puszczała mu tylko pod nos dym od papierosa, co go tem zawzięciej pod jej stopy kładło.

Wreszcie blizkim był już zniechęcenia. To znaczy: że inaczej nie mogąc, postanowił za małżonkę ją pojąć. Wybornie się nadawała na przynętę rzeczy, w kieszeni nie jednej bezpożytecznie zalegających. O! on już z dawna pragnął się ustalić, z jutrem się silniej niż dotąd związać, coś — jednym słowem — rozgłośnego

na własną rękę urządzić. Wahał się tylko pomiędzy kantorem sprzedaży na raty premiowych pożyczek, a biurem stręczenia posad, w któremby kaucyje brał w depozyt.

Więc, jak powiadam, z przyczyny owej twardej osoby, zniechęcony był i frasobliwy, bo nic nie wiedział o tem, że ona tymczasem, w chwilach wolnych od zajęć powszedniego życia »reflektowała« niejednokrotnie jego namowy, rozsądnie tylko wyczekując sposobnej po temu okoliczności.

Ta zaś nareszcie nastęczyła się w sposób taki.

Raz poleconem zostało Pawłowi, podnieść z banku pewną wcale okazałą, więc i dość wesołą sumę. Już z nią roztargniony wracał do pryncypała, kiedy w tem, słyszy z kiosku głosik srebrzysty.

— Dzień dobry panie Pawle, proszę na chwileczkę do mnie. Cóż to pan ma takiego w tej pękatej tece?

— Ach! to nędzne jakieś parę tysięcy rubli, które przez grzeczność podjąłem się oddać po drodze Cwajnosowi.

— Gdybyś mu pan dziesięć razy oddał, on się na tem ani razu nie pozna. Kutwa przeklęty! Niedawno temu, nie chciał mi sprawić kapelusza z makolągwą. Wie pan co, najdroższy panie Pawle, jak Bożę kocham, wartoby go za to ukarać, daję słowo. Za te pieniądze, wysmienicie można pojechać do Ameryki. Pan ich nie ukradniesz, Boże uchwaj, tylko pożyczysz, a jak się w Ameryce dorobisz milionów, to mu oddasz, gałganowi temu, niechby nawet dziesięć razy tyle. Co? nie prawda? choć jak mamę kocham, nawet i to nie warto.

To powiedziawszy, wydobyła się z kiosku, zawisła na szyi młodzieńca, ten zaś włożył na nogę but milowy — i pomknęli z kopyta.

Oto tedy, w jaki sposób stał się Paweł »iście po pańsku« (jak się wyraża prasa młodzieńcza) we własnym kraju nieobecny. Dalszy ciąg za to, demokratyczniej już wygląda.

Za stowarzyszonemi puszczone usilne wezwanie do powrotu, nie tyle ze względu na ich własną wartość (choć i tę dokładnie otrąbiono), ile z powodu niemniej szczegółowo spisanych »wartości«, które bez pożegnania z sobą unieśli. Swoją drogą, wścibska ciekawość, o Amerykę (jako już spowszedniała) nie wiele dbając, na starym lądzie w kąć każdy póty nos wtykała, aż wreszcie woń szczęścia dwojga kochanków zwąchała w Tambowie.

Wtedy panna, dla uratowania swej niewinności, co tchu za koleżkiego registratora się wydała. Paweł zaś popadł w ciężką niedolę: przy rewizji bowiem but mu ściągnięto, i już go więcej nie włożono.

Za to znów, bezpłatnie już, z Tambowa do Pawiaka trafił.

Tu zaś — o słodka w strapieniu pociecho! — skoro brata rodziuteńskiego ujrzał, w objęcia się sobie rzucili, popłakali się, a potem papierosy odeskie wzdychając palili. We dwóch, czy we dwu, doprawdy nie wiem już jak jest lepiej?

ROZDZIAŁ NASTĘPNY,

Gawła pierwszy występ na widowni dziejów doczesnego świata. Jego stosunek z księżycem, i czy on był prawym synem naszej ziemi (jako planety)?

Trzeci z kolei syn wzmiankowanej wyżej baby, Gaweł miał na imię.

Ten, kiedy się rodził, księżyc głową na to kiwał, i było czego, jak się niebawem — i to nie jeden raz — pokaże.

Chłopak był dziwny; odkąd bowiem, w kołysce jeszcze leżąc, palec sobie od nogi w gębę włożył, aż do chwili kiedy na śmierć się zakochał, myślał tylko nieustannie, ale nigdy nic nie wymyślił. Możeby nawet i wymyślił, gdyby nie to, że zawsze do jutra odkładał. I nie jedno miał zrobić, ale czasu mu na to brakło.

Był już taki, jak to mówią, niezdarzony.

Fizycznie jak i moralnie biorąc, zawsze się o coś potknął, czemś szturgnął, coś z siebie zgubił, albo dał drugiemu.

Do rzemiosła żadnego się nie zdał. U ślusarza wytrychów robić nie chciał, u piekarza bułki lepił za duże, u tapicera nie brał na seryo kłaków, które razem z molami między włosień wtykano.

Przytem bywał roztargniony.

Więc kiedy u krawca się ucząc, wszyl prawą nogawicę na miejscu lego rękawa:

— Słuchajno — powiada mu matka — tybys był może pomyslowym adwokatem?

— Jakto? takim, co raz gada bialo a drugi raz czarno, w miarę jak mu zaplaca? Albo ja głupi!

Myślał, że nie jest głupi — ale i tego nie wymyślił, bo któż kiedy pomyślał o sobie coś ubliżającego? Bywało nie raz, po księżycu chodząc (ten głową wtedy kiwał), życzył sobie zostać ministrem, kardynałem lub choćby członkiem jakiej zarządzającej rady. Miał w sobie coś »z epigonów romantyzmu«. Nawet wiersze myślał pisać, i choć do tego nigdy nie przyszło, dostatecznie był na to rozmazany, ślamazarny i bezzębny. Słowem, że w epoce, w której rośliny nawet mają swoją »przebiegłość, grę w chowanego, społeczność i państwowość, cnoty i zbrodnie, nawet politykę całkiem od minerałów odrębną«, on jeden wyglądał bezbronny.

Więc matka dała mu taką gałkę, co byle ją było pod językiem umieścić, zaraz się człowiek stawał niewidzialnym.

— Masz niedolego — tak mu powiedziała — niech cię przynajmniej oczy moje jak najrzadziej oglądają.

A on się zasmucił. Bo trzeba wiedzieć, serce miał czułe; serce tak czułe, że nieustannie się kochał, i to w kilku na raz, a to dla tego, że jedne o to nie dbały, inne się tem nudziły, a były takie, co się nawet nie domyślały o co mu chodziło.

ROZDZIAŁ NASTĘPNY.

Panna od przymierzania, do której Gaweł przymierzyć pragnie miarę swego serca — ta zaś, nieprzymierzając, w przymierze wchodzi z kim innym.

Aż wreszcie dar jego serca przyjęła pewna wyjątkowa istota.

Była to panna od przymierzania sukien w pewnym poważnej cechy magazynie. Z tej więc przyczyny kształtna być musiała; takie już było jej rzemiosło. I doprawdy święcie je spełniała. Miała małą rączkę i drobną

nóżkę, spadziste ramiona, pierś w miarę wypukłą, i stan długi jak potrzeba. Słowem, wyglądała na reklamę chodzącą arcydzieł stworzenia. Ale cóż w niej nie było reklamą! Od bujnych warkoczy, aż do przeźroczystrych pończoszek i pantofelków z haftami — wszystko jej na pokaz dawano.

To też można ją było zbudzić niechby o północy (choć nie zawsze ona o północy spała), i spytać z nagła: — Gorset? — ona bez zająknięcia mówiła: — Skład paryzki »à la diable m'emporte«, Nowy-Swiat, 56, fason, przedłużający stan, choćby najkrótszy. — Buciki? — Pasternacki, Świętokrzyska, 30. — Warkocze? — Ildefons, Miodowa 18. Tamże Crème de Venus, brwi, rzęsy i żyłki błękitne. — Raz tylko, kiedy ktoś ją znieścacka o koszule zagadnął, odpowiedziała przez omyłkę: — Grrrande marque de Cognac, plaisir des dames! — ale też bardzo się potem o tę nieprzyzwoitość gniewała.

Z twarzy wyglądała jak zadziwione psiątko; lubiła nawet kiedy jej mówiono, że ma w sobie coś cyrkowego (rzecz wielce modna).

Była bardzo zabawna. Imię jej było Żolka (zdrobniące od Julki).

Jednym razem, do czegoś mąż jej się stał potrzebny. Ale nie żaden rozumny — nie — gdzież tam. Z tego powodu Gawel wydał jej się całkiem odpowiedni. Kiedy jej wyznał, że jest wnukiem czarnoksiężnika, w ręce z radości klasnęła. — Wybornie! czarnoksiężnik — myślała — to taki co bańki nosem puszcza, ach! jak to śmiesznie! — O tem zaś, że matka jego kości kupowała, Gawel przemilczał, odłożywszy to po swojemu do jutra.

Koniec końcem, zamienili z sobą pierścionki. Panna pachniała wtedy fiołkami (Bayard sans reproche, Senatorska, 23.) i miała rękawiczki wyżej łokcia (Cancan et Comp. w zabudowaniach zakładu wychowawczego dla zamożnych dzieci).

Z tej okoliczności nawet Gawel (co mu się dotąd nie zdarzyło) zaczął pisać miłosną elegię. Zaczął, i jak zwykł był, nie skończył. Obaczmy jednak, dla czego? Elegia miała nastrój pasterski. Z Kiernozi, przez powinowactwo pojęć, ku Wieprzowi się zwracał; w rzece tej upatrując niby Eufkrat swego raję, z którego... ale nie uprzedzamy wypadków. — Zaczynała się ona w ten sposób:

O słodki Wieprzu! przy twojem korycie,
Jakżebym z lubą błogie pędził życie!

Miało być więcej, na nieszczęście odłożył to do jutra. Odłożył to do jutra, w którym to jutrze... ale nie uprzedzamy wypadków.

Dosyć ci oto, że w czas jakiś po zaręczynach, błądząc przy księżycu (ten głową wtedy kiwał), widzi Gawel, że się u niej świeci. — A! jest w domu — pomyślał. Spieszy więc na górę.

Ale nim wszedł, słyszy przezedrzwia śmiechy i rozmowę, w której przeważał głos mężki. — Co u licha? — Włożywszy tedy gałkę pod język, patrzy przez dziurkę, i cóż widzi? Na kozetce, z nogami na komodzie, leży facet jakiś paląc importowane hawana, a obok niego, tuż obok niego, z papierosem w zębach, buja się w fotelu na biegunach zadziwione psiątko. I cóż oni czynią ci źle dobrani? Oto czytają wiersze, które Gawel dopiero napisać umyślił, i wzajemnie za boki się trzymają od śmiechu.

Gawel struchlały w roztargnieniu wsparł się na kłamec. Z tego powstał zgrzyt, skutkiem którego zerwał się leżący jegomość i krzyknął: — Złodziej! trzymajcie! — na chybił trafił lunął kijem w kierunku schodów, i trzeba, że od razu ugodził w niewidzialny dla siebie grzbiet Gawłowy.

Mogło się gorzej skończyć, bo już się zbiegali sąsiedzi, ale ocalił Gawel cudowny talizman.

Jednak, czy ocalił on jego złudzenia? Wcale bynajmniej. Bo skoro nazajutrz wybrał się Gawel robić pannie wymówki — zanim usta otworzył:

— Ach jak to dobrze, że pan przyszedł — tamta mu rzekła — właśnie miałam przez posłańca prosić o zwrot pierścionka.

— A to na co?

— Kochany panie Henryku (omyliła się przez prędkość), co tu rzeczy obwijać w bawełnę. Dziś, rzeczywistość tylko naga ma prawo bytu w walce o istnienie, uważa pan? Idealizm zaś, jest, jak wiadomo, spłowiałym łachmanem, co? nie prawda? Otóż tedy, całe zaufanie moje posiada niejaki Ypsylanty, głęboki myśliciel, z szerokim poglądem przyrodoznawca, wysoce wykształcony fizyk, robiący odkrycia w dziedzinie wynalazków, i tych tam różnych organizmów... co to tego. Tak, tak, najdroższy panie Hilary, chcę mówić Pawle czy Gawle, minęły te czasy, kiedy — cóżem ci chciała powiedzieć — i dziś, powaga jak się nazywa... Bo kiedy nas okoliczności roz... ten, tośmy powinni śmiało prze... tego, jak mamcię kocham.

Tu pomyślawszy chwilę dodała w końcu:

— No, jednym słowem, choć doprawdy z przykrością, ale cóż? pożegnać pana muszę panie Karolu, bo już jest pora iść do magazynu. Do widzenia! do widzenia!...

Do jakiego widzenia? Widzenie było, ale się rozwiało. Tak samo niegdyś: »Bądź zdrowa!« mówił Byron do żony, choć wcale nie dbał o jej zdrowie.

Gawel o włos że się nie rozplakał — na szczęście odłożył to do jutra.

Ach! z grzywką swoją i naszyjnikiem nabijanym ćwieczkami, wyglądała istotnie jak czarujący pinczerek! Wiało coś od niej jakby ponczykiem ananasowym, czy mamą Cliquot, nieutuloną wdową, (być może z wczorajszego jeszcze użycia). Zbiegała ze schodów, podobna do charcika w czaprachku, dzwicząc przytem znaną wszystkim śpiewkę z »Jesionowego paltota w Rzymie« (właściwie: jesiennego w zimie):

— Gdzieś? gdzie?
— Bre — bre — bre!
— Czy to ty?
— Kwi — kwi — kwi!
— Ja to sam.
— Tu? czy tam?
— Już cię mam.
— Ham — ham — ham!

(Dalszy ciąg nastąpi).

FELICYAN FALEŃSKI.

WŁADYSŁAW WANKIE.



ZE WSCHODU.

PANNA Z POSAGIEM.

KOMEDIA W JEDNYM AKCIE.¹⁾

(Ciąg dalszy).

SCENA 3.

JADWIGA, PANI LEONOWA.

JADWIGA (chowając fotografię).

Szkaradny człowiek z tą swoją ciekawością...
wszystko dojrzy, każde słówko podsłucha...

P. LEONOWA.

To nie jest wcale zwyczajna ciekawość, tylko
dar spostrzegawczy, bystrość... Bronię go, bo to mój
faworyt...

JADWIGA (jeszcze rozdąsana).

Próżniak, w którego wmawiacie, że jest poeta...
Doprawdy nie wiem, co tam widzicie w tych jego
(ironicznie) utworach... (Wstaje).

P. LEONOWA (wstając także).

Pozwolisz, że talent ma i to niepospolity; ale to
wszystko chaos jeszcze... Niepokierowany umiętnie,
puszczony samopas, potrzebuje wypalić wewnątrz sie-
bie bogatą rudę, którą obdarzyła go natura, aż z te-
go procesu ogniowego wyjdzie szczyry kruszec. Zre-
szta, czy myślisz, że go nie kosztuje to zależne po-
łożenie, to próżniacze na pozór życie pod dachem,
który dał mu przytułek? Uważałam nieraz, jak wśród
najjaskrawszych błysków humoru swobodnego na po-
zór, przebijała się gorycz, gdy mówił o niezależno-
ści materyalnej, o własnym dachu.

JADWIGA.

Nie żałujemy mu go bynajmniej... Wspomniałam
o tem, tak tylko... nawiasem... bo rzeczywiście żal
patrzeć na człowieka młodego, pełnego siły, marnu-
jącego najpiękniejszy wiek, bez pewnego wytkniętego
przed sobą celu... (słuchając) Tentent konia... (Idzie do
okna na prawo) Pan Jan!.. (prędko) Chodźmy do siebie...

P. LEONOWA.

Dla czego? ja zostaję.

JADWIGA.

Jak chcesz... (Wybiega, zatrzymując się we drzwiach) Ale
nie, pójdź i ty Karolciu, proszę cię; muszę się z tobą
jeszcze rozmówić... potrzebuję twojej rady... prędzej,
prędzej!.. (Ciągnie ją za rękę) Już idzie... (Zamykają się drzwi
za nimi, w chwili gdy Jan wchodzi).

SCENA 4.

JAN (wchodząc prędko z bukietem róż i innych kwiatów, dostrzega
suknie we drzwiach. — Wesóło).

Cóż to znaczy? zsiadając z konia widziałem ją
w oknie, ledwie rzuciłem okiem, ale ją dostrzegłem.
I uciekła przedemną!... (Zbliża się ku drzwiom, które
wyszyły) Gdyby się to zgadzało z moimi wyobrażeniami
o przyzwoitości, gotówbym zajrzeć przez dziurkę
od klucza... (żartobliwie) A jeżeli też ona na to właśnie
wybiegła, aby tą samą drogą mogła niewidziana spoj-
rzeć na mnie przez chwilę... Panienki to lubią cza-
sami... (Idzie z bukietem do konsoli, stojącej z lewej strony drzwi

w głębi i wkłada go w wazonik) Szaleńcze! szaleńcze! że
też nie pozbedziesz się ludzkiej natury... (śmiejąc się)
Pretensjonalność godna studenta z piątej klasy...
(wracając na przód sceny i spoglądając znowu na drzwi) Ona!
Jadwisia! mój idealik wymarzony... ją podejrzewać
o coś podobnego!... chociaż dziś już mam prawie
pewność, że nie jestem jej obojętnym... o tak! te
oczy, to całe obejście się ze mną, te delikatne odcie-
nia, których człowiek nie interesowany nie dostrzeże,
kłamać nie mogę... (po chwili) O mój Boże! czy ja
się znowu nie łudzę, czy nie dopuszczam się wprost
szaleństwa?... ale nie! próba trwała zbyt długo...
dziś już stanowczy krok robię nieodwołalnie... (składa-
jąc ręce i zwrócony ku drzwiom) O! Jadwisiu moja najdroż-
sza... jak ja dumny, jak silny będę, gdy wesprzesz
się na moim ramieniu, gdy skołatana przeciwnościa-
mi główkę, utulisz na moich piersiach...

SCENA 5.

JAN, LUDWIK (wchodzi drzwiami w głębi).

LUDWIK.

Czy ty pacierz mówisz?

JAN.

Ludwik!

LUDWIK.

Skończyłeś?

JAN (z uśmiechem).

Skończyłem.

LUDWIK.

No, to jak się masz... (kręcąc nosem) Co to?...
świeże kwiaty... róże!... fiu, fiu, znać pana po cho-
lewach. Powiedz mi zkad ty je bierzesz, i w takim
doborze?... Tu jest także ogród, a...

JAN.

Pielęgnuję sam...

LUDWIK.

A! masz też i bodźca do pielęgnowania... miej-
sce zbytu, gdzie je korzystnie spieniężasz... rozumiem.

JAN (z uśmiechem, biorąc jego rękę).

Czy w istocie rozumiesz?

LUDWIK.

O! ja bardzo wiele rzeczy rozumiem, jednego
tylko pojąć nie mogę, dla czego tak mało masz do
mnie zaufania.

JAN.

Mój drogi, gdy człowiek sam ma wątpliwości,
nie jest skłonny do zwierzeń; te są następstwem
sumiennego już przeświadczenia i pewności siebie.
Zwierzamy się tylko z czemś pomyślnem, gdy zama-
rom naszym nic nie stoi na przeszkodzie, lubimy dzie-
lić się naszym szczęściem... ale cierpienia, niepewność,

¹⁾ Zastrzegają się prawa spadkobierców autora wobec scen polskich. — Teatra, któreby chciały nabyć »Pannę z posagiem« zechcą się zgłosić do Zygmunta Sarneckiego, Kraków, 34, ulica Szpitalna. (Przypisek redakcyi).

walki, chowamy w sercu... dla siebie. Tak ja przynajmniej pojmuję.

LUDWIK.

Alboż ty nie jesteś szczęśliwy?

JAN.

Ja?... (po chwili) O! tak, dziś jestem szczęśliwy, bo przedsięwzięję krok najważniejszy w moim życiu... a skoro zrobiłem już to postanowienie, to... (wstrząsając jego rękę) wszak ty mnie znasz Ludwiku, patrzysz na mnie i odgadujesz to, co dla innych jest niedostrzeżone... Czy wierzysz, że przystępuję do tego z czystym sumieniem?

LUDWIK.

Czyżbym śmiał wątpić?

JAN.

Badalem nie tylko ją... bo wszak nie potrzebuję cię objaśniać, o czym i o kim mowa... (Ludwik z uśmiechem przyświadcza gestem) nie tylko ją, ale i siebie. Nie dowierzałem własnemu uczuciu, musiałem się przekonać, że ono jest tak głębokie i czyste, bez żadnej brudnej myśli, iż mam prawo sięgnąć po ten skarb, który inaczej byłby dla mnie zakazanym, chyba bym chciał zniżyć się do roli niskiego, powszedniego spekulanta. Dziś próba skończona; mogę wyznać z wzniesionym czołem, że ją kocham bezinteresownie, że pracując nad jej uszczęśliwieniem, nie zbraknie mi sił do zrzucenia z siebie ubliżającego posądzenia, jakim mię świat bezwątpienia obrzuci.

LUDWIK (wzgardliwie).

Na podobne małostki bym nie zważał. Gdyby głosy takie dały się słyszeć, już sama ich treść świadczyłaby dobitnie o wartości głów, w których się wyłęgły.

JAN.

Ludwiku, czemu nie mówisz szczerze? Czy ty w podobnym położeniu nie robiłbyś skrupułów? (Ludwik spuszcza oczy) Czy człowiek z iskierką szlachetności w piersiach, im mniej dostał w podziale tego, co dziś niestety daje prawo do pocześniejszej roli w tragikomedii ludzkiej, nie jest tem dumniejszy, tem drażliwszy w swej miłości własnej? Czy ty nie byłbyś jeszcze drażliwszym ode mnie?

LUDWIK.

No, tak, być może... ale... (nie wiedząc co powiedzieć) to wszystko są rzeczy względne.

JAN.

Wiem dobrze, jak o tem trzymasz. Wracając do mojego położenia, powiem ci na moje usprawiedliwienie... (zniżając głos) przekonałem się, że dobrze widzi moje zabiegi...

LUDWIK (śmiejąc się).

Wiedziałem o tem dawno.

JAN (jeszcze ciszej).

Że mogę być pewnym jej wzajemności.

LUDWIK.

Rozumie się.

JAN.

Nie podobna, żebym się mylił; oddawna już, chwytalem wszystkie pozory za i przeciw. Ileż to no-

cy bezsennych spędziłem po dniach najrozkoszniejszych gdy pod wpływem jej spojrzeń i uśmiechu, upojony powracałem do domu, jakiś jad powątpiewania wciskał mi się do serca i zatruewał wrażenia dnia całego; mimowoli stawiałem sobie przed oczy tę oplakaną różnicę majątkową i strącałem się na stanowisko prostego bawidelka w jej rękach. O! cóż nieraz byłbym dał za to, gdyby jaki przypadek, nieszczęście, pozbawiło ją mienia! Często snuły mi się po głowie intrygi, godne bohatera melodramy. Jakże bym był szczęśliwy, mogąc ją wówczas przekonać, że o nią samą, o jej serce tylko mi chodzi! Ale pozory stawały się z czasem dowodami, coraz wymowniejszemi i rozproszyły wreszcie mgły, zaciemniające mi widnokrag. Dziś już mogę się uważać niejako za upoważnionego do kroku, na jaki się odważam.

LUDWIK.

A więc w imię Boże! mnie nie pozostaje, jak tylko życzyć ci powodzenia... (wracając do żartobliwego tonu) A może ci w czem pomóże?... ojciec bo ci nie będzie przeszkadzał... ale pani Leonowa?... czy mam ją dziś zekspluatować?... gotów jestem nawet umizgać się, co mię nie będzie wiele kosztować, upewniam cię... Napiszę sonet, co?

JAN.

Pustaku! daj pokój... chyba, że chcesz na swój rachunek... ale mam do niej zupełne zaufanie i nie potrzebuję robić przed nią tajemnicy.

LUDWIK.

Kobieta bardzo rozsądna...

JAN.

Przeszła ona biedna wiele. Ten rozum i takt, jakimi dziś jaśnieje, nabyła w szkole ciężkich doświadczeń. Zaprzędana jak prosty towar, mając znaczny posag, padła ofiarą opiekunów.

LUDWIK.

Słyszałem... Ty, bo ze strony naszego opiekuna i papy dobrodzieja nie napotkasz zapewne żadnej przeciwności.

JAN.

Tylko proszę cię, sądz go z pobłażaniem... to człowiek najzacniejszy...

LUDWIK.

Bądź spokojny nikt go lepiej nie zna odemnie. A zresztą, od czegoż wdzięczność? miałebym zapomnieć, że nie pożałował mi dachu i kawałka chleba? (znowu żartobliwie) Wynudzi mię, bo wynudzi nieraz kapitalnie, to prawda... ale też za to Eldorado! żadnego kłopotu na głowie, dobry stół... przyznasz, że to nie izdebka pod strychem na Gołębiej ulicy, mleczko na śniadanie i dwie pół porcyce na obiad u Andzi...

JAN.

A jednak, wzdychałeś do tej izdebki pod strychem, do tej niezależności tak pożądanej każdemu, chociażby przy najskromniejszej mierności...

LUDWIK (zmieniając ton).

I wzdycham jeszcze...

JAN.

Prosiłeś mię, abym pisał do Stanisława, czy nie

mógłby ci dać miejsca przy sobie, zostawszy redaktorem...

LUDWIK (żywo, chwytając jego rękę).

I proszę cię jeszcze raz o to usilnie; dziś więcej niż kiedykolwiek...

JAN (wpatrując się weń).

Pisałem już i mam nawet odpowiedź...

LUDWIK.

Czy podobna!... pomyślna?

JAN (tajemniczo).

Być może...

LUDWIK (rzucając mu się na szyję).

Kochany, złoty Jasiek!

SCENA 6.

Poprzedzający, SĘDZIA (wchodzi szybko drzwiami z prawej strony).

SĘDZIA
(do Ludwika z delikatnym wyrzutem).

Fe!... wstydz się Ludwiku... zawsze cię muszę szukać, gonić... Czy zapomniałeś, że zaczęliśmy porządkowanie tych notat?

LUDWIK (stropiony).

Notat?

JAN.

Witam pana sędziego... (całuje go w ramię).

SĘDZIA (ściskając jego rękę).

Jak się masz! (do Ludwika) Jakże można? E!

LUDWIK.

Ale panie sędzio...

SĘDZIA (klasnąwszy językiem z nieukontentowaniem),

Żadnego ale... wstydz się... (do Jana, dobywając z kieszeni papiery). Wystaw sobie, przed pół godziną, posyłam do niego Franciszka, ażeby go poprosił na chwilkę do mnie... Czekam, czekam...

LUDWIK.

Przepraszam, pospieszyłem natychmiast.

SĘDZIA.

No, mniejsza o to... przypuśćmy... Ale cóż, ledwo przyszedł...

LUDWIK (podchwytyjąc).

Wchodzi kucharz...

SĘDZIA.

Tak. Proszę go więc, aby parę minut zaczekał, bo rzeczywiście kwestya była dosyć ważna... (nawiasem) chodziło o próbę nowego sosu, któryśmy obydwaj wykoncypowali...

LUDWIK.

Notabene z kucharzem, nie ze mną...

SĘDZIA (nie uważając na tę przerwę).

Zagadałem się, a ten wystaw sobie, uciekł...

LUDWIK.

Uważałem, że sesya rozciąga się do wymiarów nieskończonych, więc...

SĘDZIA (przerywając).

U ciebie to wszystko łap cap... aby zbyć...

JAN (z uśmiechem).

No, no... wszak to jeszcze do naprawienia... Ludwik właśnie w tej chwili miał iść...

SĘDZIA (udobruchany już).

Masz przy sobie to, coś wypisał?

LUDWIK.

Zdaje mi się że mam... (szuka w kieszeni; słychać turkot i trzask z bicza) Ktoś jedzie...

SĘDZIA.

Co to?... masz sobie!... człowiek nie może chwileczki czasu mieć na zajęcia poważne...

LUDWIK (w oknie po prawej stronie).

Któż to jest?... nie znam go... Powóz, cztery konie w świecących szorach...

SĘDZIA.

Czy kto niezajomy?... (z niezadowolaniem) Aj! czy to czasem nie ten zawiślak... jakże mu tam... Eöngin czy Albin... którego przybycie prezesowa zapowiedziała już przeszło od tygodnia.

JAN (w oknie).

W istocie... Albin Krucki z Mławskiego... nie wiedziałem, że państwu znajomy...

SĘDZIA.

Poznałem go w roku zeszłym u wód... oświadczył się z witytą. (żywo) Ty się z nim znasz?

JAN.

Mój kolega szkolny.

SĘDZIA.

A to chwala Bogu; przyjmiesz go, bo ja nie mam w tej chwili czasu... Uciekam z Ludwikiem.

LUDWIK (w oknie).

Wysiada!... (n. s.) Teraz i ja go poznałem.

SĘDZIA (do Ludwika).

Pójdź... (chowa napowrót papiery do kieszeni).

LUDWIK (prędko do Jana).

Przed chwilą panna Jadwiga z Leonową oglądały z zajęciem fotografię tego jegomości... i kryły się z nią...

JAN (zdziwiony).

Żartujesz!..

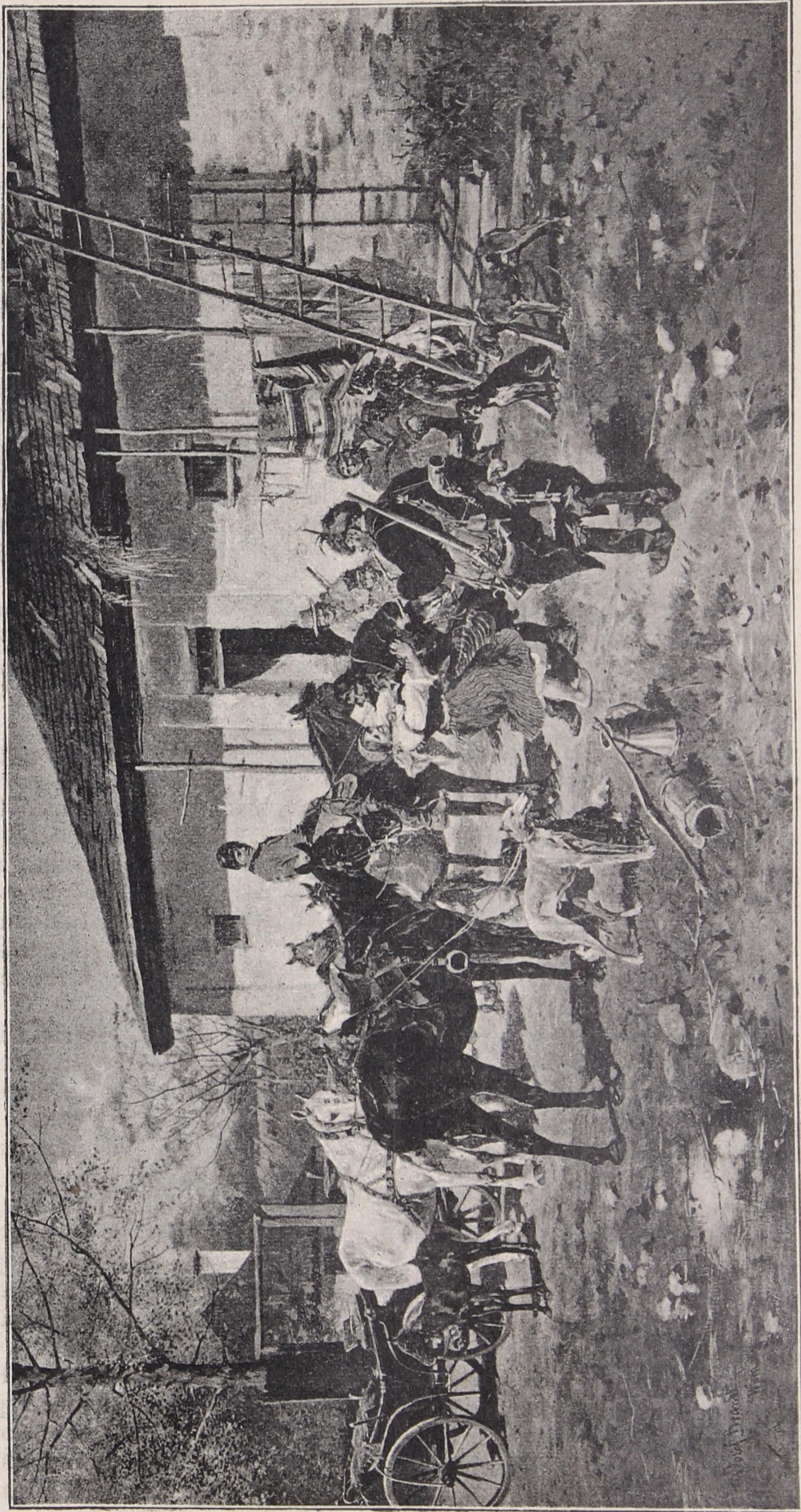
LUDWIK.

Poznałem go; powiadam ci, ten sam...



ELWIRO MICHAŁ ANDRIOLLI.

JÓZEF BRANDT.



WYJAZD NA ŁOWY.

SĘDZIA (nagle).

Ale!... kolacya... trzebaby pomyśleć o kolacyi... (do Ludwika) Mieli przynieść raki... nie wiesz czy rybak był?

LUDWIK (żywo).

Pójdę się dowiedzieć.

SĘDZIA.

Nie, nie... poślę Franciszka... Do licha! szparagi zjedliśmy na obiad... pójdź, pójdź, żeby nas nie naszedł... (do Jana) Powiedz, że jestem u gospodarstwa. (Wychodzi z Ludwikiem na prawo).

JÓZEF BLIZIŃSKI.

(Ciąg dalszy nastąpi).

CZAS POWSTANIA »ANHELLEGO« I ZNACZENIE POEMATU.

(Dokończenie).

Uspodobienie swoje ówczesne oddał poeta w kilka lat potem w »Beniowskim« w gorzkich kilku zwrotkach (przedtem zresztą jeszcze w »Podróży na Wschód«):

Czyście żegnali? klęczeli? włos rwali?
Tracili ducha? wymowę? kolory?
Z paszportem pugilares? i tak dalej —
Czy przysięgaliście, jako upiory
Wrócić po śmierci, przy księżycu biali?

Czy wam pozwolił potem los nie wrócić?
Zachować smutku wrażenie niestarte.
I całe życie się przeszłością smucić?
Odwiedzać morza, ludy, Egipt, Spartę,
A zawsze: »Ona teraz musi nucić!
Teraz na księżyc oczy ma otwarte!«
Ach! takem ja śnił, lecz na piramidzie
Tfu! odebrałem list, że za mąż idzie!

Uspodobienie to pełne goryczy, któremu w drażliwszy jeszcze sposób dał wyraz w »Podróży na Wschód« nie potrafiło jednak długo. Ustąpić ono musiało rozrzewnieniu podczas podróży po Palestynie i samotności sześciotygodniowego pobytu w klasztorze Bet-Cheszban (w końcu lutego, w marcu i początku kwietnia 1837). Z Ludwika, która zakochała się była w Rosyaninie, poległym w wojnie 1828 — co jej tak gorzko wyrzuca poeta w »Podróży na Wschód« — pod wpływem tego rozrzewnienia i słyszanych w klasztorze z ust mnichów podań, zrodziła się anielica, która umiłowała jednego z ciemnych cherubinów. Jedno z tych podań spisał poeta w swoim pamiętniku: »Mnich opowiadał mi legendę o pewnej Maryi, Hiszpance, która zakochała się w djable; dla niego naprzód wyrzekła się Chrystusa, lecz kiedy ją prosił kochanek, aby odmieniła imię swoje chrzestne, nie chciała na to zezwolić, nareszcie po długich naleganiach djabła, zezwoliła na odjęcie ostatniej litery i została Mari, potem na nowe prośby jeszcze mu po jednej literze oddawała, aż nakoniec zostało jej tylko M. i nazywała się Ema. Ta dziewczyna znajdując się na tragedyi świętej Kalderona, krzyknęła głośno z rozczulenia i djabeł ją rzucił w powietrze.« Że to podanie wpłynęło na stworzenie postaci Eloï, nie może uleść żadnej wątpliwości. Reszty dopełniły albo reminiscencye z poezyi współczesnej, albo i z biblijnej. Jak Ellenai jest krewną Magdaleny, tak Eloë ma coś z postaci Racheli, płaczącej w Ramie nad synami idącymi na wygnanie. (Jeremiasz XXXI, 15).

I tak z nastroju rzewnego poety, z reminiscencyj poetycznych i własnego życia, z podań wreszcie opowiedzanych mu w klasztorze, zrodziła się przepiękna scena, w której Anhelli omdlewa na widok Eloï, podobnej do kochanki lat jego niemal dziecięcych.

Wiadomo jest z listów, że Słowacki w klasztorze pracował nad jakimś poematem. Profesor Małecki wnosi, że to był »Ojciec zadżumionych«. Prędzej od-

powiadałby nastrojowi »Anhelli«. Z tego klasztoru libańskiego Bet-Cheszban obserwował też niebo gwiazdziste, a jedną taką konstelację gwiazd naszkicował w »Dzienniku« z napisem: »Niebo widziane w Bet-Cheszban dnia 29 marca 1837 o godzinie 8-mej wieczorem.«

I o tem niebie znajduje się wzmianka w poemacie, w słowach Anhellego: »Oto szafirowe niebo i gwiazdy białe patrzą na mnie; sąż to gwiazdy te same, które mnie widziały młodym i szczęśliwym?«

Po tych dowodach należy stwierdzić, że »Anhelli« ukończony został albo podczas podróży na Wschód, albo po niej, że puszcza Suez — na której »tak dobrze było« poecie — religijny nastrój, wreszcie pobyt w klasztorze, wpłynęły głęboko na koloryt poematu i jego tendencye. Osamotnienie Anhellego jest samotnością każdej wyższej indywidualności. Osamotnienie to nie broni go przed żadną boleścią; widzi i głęboko odczuwa nędzę i zbrodnię wygnańców Syberyjskich. Jest to apoteoza nadludzkiej cierpienia, ustęp ze systematu socyologicznego poety, który na czterdzieści i kilka lat przed Nietzschem w poezyi propagował teorię niemieckiego »Übermensch«. Wiadomo, że Słowacki uważał tyranów, okrutników, za narzędzia boskie do podnoszenia ludzkości. W »Królu Duchu« w rapsodzie pierwszym, znajdujemy rażący tej teorii przykład. Żaden poeta polski nie bronił prawa indywidualności z taką bezwzględnością. Szrankami jej u poety są tylko czasem wiara i mistyczna miłość idei jakiejś.

Anhelli jest objawieniem biernej polityki, poświęcenia się cichego. Takim tylko jest znaczenie słów anioła do Anhellego: »Może jesteś wybrany na ofiarę cichą a chcesz się zamienić w piorun gwałtowny.«

To nie jest mistyka, ale jasna jak słońce prawda. Słowackiego przerażał widok szamotania się narodu w łańcuchu, postawił przeto przed jego okiem postać o nadludzkiej abnegacyi i szlachetności, człowieka, który miał wszelkie prawa szczęścia, a spłonął cichą ofiarą. I to jest ostatni akt »Grafa« Kordyana!

Można poematowi zarzucić pesymizm, ale pesymizm ten nie prowadzi do zwątpienia; poeta nakazuje bowiem rzec się nadziei tylko jednemu pokoleniu, a w ostatnim rozdziale przepowiada jasną przyszłość.

Uwagi te najlepiej zakończę słowami poety, które wkłada w usta Szamanowi: »A chorobą zgubną, mówię, jest melancholia i zamyślenie się zbyt o rzeczach duszy. Dwie bowiem są melancholie: jedna jest z mocy, druga ze słabości, pierwsza jest skrzydłami ludzi wysokich, druga kamieniem ludzi topiących się.«

Nie potrzeba chyba dodawać, że z melancholii Słowackiego każdemu dzielniejszemu duchowi tylko skrzydła urosną.

DR HENRYK MONAT.

KRZYSZTOF KOLUMB W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH BADAŃ.

(Ciąg dalszy).

III¹⁾.

Niedługo po odrzuceniu projektu opuścił Kolumb przy końcu 1484 r. Portugalie. Już wcześniej powstało podanie, że jeszcze podczas trwania rokowań król Jan II wysłał potajemnie okręt na morze w wskazanym przez Kolumba kierunku; załoga jednak straciła wnet odwagę i powróciła już po kilku dniach do portu. O tym podstępie miał się dowiedzieć Kolumb i oburzony opuścił Portugalie. Całe to opowiadanie niema żadnej historycznej podstawy i powstało pod wpływem okoliczności, w jakich Kolumb opuścił a raczej uszedł z Portugalii. Z jakich przyczyn to nastąpiło, to wyjaśnić się nie da, ale że tak było, to wypływa wyraźnie z listu króla Jana II pisanego do Kolumba podczas pobytu tegoż w Hiszpanii. List ten z datą 20 marca 1488, ogłoszony w ostatnich czasach drukiem, znajduje się w oryginale w archiwum księcia Veraguy.

Ostatnie ślady pobytu Kolumba w Portugalii sięgają letnich miesięcy r. 1484. Najbliższa pewniejsza data jest dopiero z 20 stycznia 1486. Opiera się ona na dzienniku spisanym przez Kolumba podczas pierwszej swojej podróży. Dziennik wprawdzie zaginął, ale znamy go w wyjątkach, które podaje znany obrońca krajowców indyjskich Bartłomiej de Las Casas (ur. 1474, zm. 1566) w dziele swem: »Historia General de las Indias.« Otóż według notatki zawartej w tym dzienniku przybył Kolumb na dwór hiszpański 20 stycznia 1486 r. Natomiast brak nam zupełny wiadomości co do drogi i pobytu Kolumba w Hiszpanii w r. 1485. Jest to jeden z owych ciemnych punktów, »Nebulosa de Colón«, jak je znakomity biograf Kolumba Cesareo Fernandez Duro nazywa, których w życiu wielkiego odkrywcy tyle spotykamy.

W Hiszpanii znalazł Kolumb możnych protektorów. Za ich staraniem otrzymał audyencyę u królowej Izabelli i sposobność przedstawienia swego projektu. Królowa postanowiła poddać projekt rozpatrzeniu komisji złożonej z uczonych mężów a do chwili rozstrzygnięcia wszedł Kolumb w służbę kastyljskiej korony. Z lat 1487 i 1488 zachowały się wykazy niewielkich zapomóg, jakie Kolumb z królewskiej kasy otrzymywał. Szczegółów badań komisji, które odbywały się prawdopodobnie w Salamance, gdzie dwór w zimie 1486/87 przebywał, nie znamy. Wobec niewielkiej liczby osób, które zajmowały się wówczas matematyką i kosmografią i mogły myśl Kolumba zrozumieć, zadanie tegoż było trudne. Komisja ta nie oświadczyła się w końcu ani za, ani przeciw. Tak samo rozstrzygnęła i para królewska, Ferdynand i Izabella. Oboje nie chcieli odbierać Kolumbowi wszelkiej nadziei, ale z drugiej strony wskazywali na toczącą się ówczas wojnę z Maurami, która wszystkie siły państwa wstrzymywała i nie dozwalała uwagi na inne przedsięwzięcie skierować. Tymczasem wojna z Maurami długo się wlokła, a dla Kolumba nastął czas przykrego czekania. Przebywał on to w Sewilli, to w Kordowie, oczekując spełnienia swych życzeń w samotności, prawie w zapomnieniu. Ale w tem położeniu

okazał wielki odkrywca wytrwałość, która nas uwielbieniem dla jego osoby przejmuje. Na czas tego przykrego oczekiwania przypada znajomość Kolumba z księciem Medina-Celi, w którego gościnnym domu dwa lata przepędził. Medina-Celi był też gorliwym protektorem projektu Kolumba na dworze królewskim. Chwila jednak była zawsze jeszcze niekorzystna. Monarchowie zajęci byli na wiosnę 1491 r. przygotowaniami do oblężenia Granady a niebawem też i udali się do obozu pod Granadą. Za dworem pospieszył i Kolumb do obozu, ale wreszcie zniechęcony długiem czekaniem i sprzecznymi zdaniem z jakimi się spotykał, postanowił opuścić Hiszpanię i udać się do Francji. Ubogim, jakim przybył, puścił się pieszo z synem swoim małym, Diego, w drogę do portu Huelva, aby ztąd okrętem popłynąć dalej. W tej drodze zatrzymał się przed klasztorem OO. Franciszkanów, na pustem wzgórzu nieopodal wybrzeża i miasteczka Palos położonym, La Rabida (Santa Maria de la Rabida), zapukał do furty klasztornej i poprosił furtyana o chleb i wodę. Cudzoziemska wymowa i niezwykła postać zastanowiła furtyana; na żądanie jego uwiadomiono przeora klasztoru Juan Pereza. W sali, gdzie dziś wiszą obrazy przypominające tę chwilę, opowiadał Kolumb o swoich planach i zawodach. Przeor słuchał z coraz większym zajęciem i zatrzymał rzadkiego gościa, aż póki nie sprowadzono z Palos lekarza Garcia Hernandez, biegłego w kosmografii, ażeby wspólnie ocenić opowiadanie Kolumba. Był on bowiem ówczas osobistością, którą niewielu nawet z imienia znało. Obaj tedy uradzili powstrzymanie Kolumba, aż póki królowa nie będzie listownie uwiadomiona o zamiarze jego opuszczenia Hiszpanii. Po czternastu dniach przysłała królowa przeorowi list z podziękowaniem za wyświadczoną usługę i pieniądze dla Kolumba, aby mógł ukazać się na dworze. Kolumb wyruszył natychmiast w drogę, i przybył tamże pod koniec roku 1491, tuż przed kapitulacją Granady. Tak tedy w klasztorze La Rabida nastąpił zwrot w jego losie. Oceniając należycie ważność tej chwili, uczynił kongres mężów zajmujących się historią odkrycia i przeszłością Ameryki, tak zwany kongres amerykańistów, podczas uroczystego obchodu w roku ubiegłym czterechsetletniej rocznicy odkrycia Ameryki, klasztor La Rabida miejscem środkowym swych zebrań. La Rabida, niegdyś cichy klasztor OO. Franciszkanów, następnie posiadłość ks. Montpensier, stał się od r. 1889 własnością narodową. Jeszcze można widzieć w sali stół, przy którym owa narada odbyć się miała, starożytny kałamarz, którym się miano ówczas posługiwać, a wreszcie cztery obrazy olejne pochodzenia późniejszego, przypominające sceny z pobytu Kolumba w klasztorze.

Nie sam pobyt lub szczegóły pobytu, ale następstwo i czas stały się w nowszych czasach przedmiotem ożywionego sporu naukowego. Jedni uczeni bowiem uważają przybycie Kolumba z synem do klasztoru jako wypadek zaszły tuż przed odbytą naradą w celu uwiadomienia królowej i oznaczają na to koniec r. 1491, to inni, w przeważnej nawet ilości przenoszą przybycie jego do czasu znacznie wcześniejszego a mianowicie na koniec r. 1484, lub na pierwszą

¹⁾ W ustępie I. na stronie 372, zeszytu 16, wkradł się błąd drukarski; zamiast Alfonso Ullva, ma być Alfonso Ulloa.

połowę r. 1485, tuż po opuszczeniu przez Kolumba Portugalii a przed wystąpieniem tegoż na dworze. Rzecznikiem pierwszego przedstawienia jest szczególnie wspomniany już wyżej biograf Henryk Harrise. Na dwóch głównie świadectwach oparł się tenże w swem przedstawieniu. W r. 1513 wytoczył był syn Kolumba, Diego, rządowi hiszpańskiemu proces o naruszenie zastrzeżonych ojcu swemu przywilejów. Z przesłuchania sądowego osób, które były niegdyś świadkami odjazdu i powrotu Kolumba do portu Palos, a mianowicie znanego już nam lekarza Garcii Hernandeza i jednego mieszkańca z pobliskiej miejscowości Moguer wynika, że Kolumb przybył był przed 22 laty do klasztoru La Rabida, że znużony prosił o chleb i wodę dla siebie i małego syna i że opowiadał jakoby podążał z dworu królewskiego do Huelvy, do mieszkającego tam szwagra, męża siostry swej żony. Celem tej podróży, uzupełnia Harrise, nie mogło być nic innego, jak tylko oddanie swego syna małoletniego pod opiekę szwagra, przed ostatecznym opuszczeniem Hiszpanii. Na takie przedstawienie inni uczeni zgodzić się nie chcą i wykazują wiele niedokładności a nawet sprzeczności. Już samo położenie klasztoru La Rabida zdala od zwykłej drogi podróżnych do Huelvy, podaje całe to opowiadanie i trafność kombinacji w wątpliwość. Droga bowiem z okolic Granady, z kąd właśnie Kolumb przybywał, idzie przez Sewillę i La Palmę, przekracza pod Niebla Rio Tiento i zostawia klasztor La Rabida zupełnie na uboczu. Dla czegoż miałby więc Kolumb zbaczać tak daleko z obranej drogi, ażeby się tylko przed La Rabida dla pokrzepienia zatrzymać? Ale jeszcze inne wątpliwości się nasuwają. Jest rzeczą niepewną, czy szwagier jego nazwiskiem Miguel Muliar przebywał w jesieni r. 1491 w Huelvie, bo akta Sewilli z r. 1493 wymieniają go już jako mieszkańca tego miasta. I zeznanie Garcii Hernandeza nie powinno stanowić niewzruszonej podstawy, bo przecież zeznał on w 22 lat później, już w sędziwym wieku i mógł wypadki różne co do czasu pomieszać z sobą. Natomiast można usunąć wszelkie wątpliwości a nawet uzupełnić biografie, jeżeli przyjmemy, że Kolumb nie raz, tylko dwa razy przebywał w klasztorze La Rabida i jeżeli obok r. 1491 postawimy jeszcze rok 1484 lub 1485. Ówczas

i tok naszego opowiadania przedstawiłby się nieco odmiennie. Jak już wiadomo, musiał Kolumb opuścić nagle i potajemnie Portugalie. Jaką drogą przybył do Hiszpanii i gdzie przepędził pierwsze miesiące, to pod

J. CHE



tym względem nie mamy żadnych wiadomości. Ale da się to jednak z wielkim prawdopodobieństwem rozjaśnić i uzupełnić, opierając się nawet na tych samych świadectwach, jakie mieli Harrise i jego zwolennicy przed sobą. Dla uchodzącego z Portugalii Ko-

BI

lumba droga lądowa była niebezpieczniejszą a zarazem uciążliwszą i kosztowniejszą. Czyż tedy nie nasuwa się myśl, że użył drogi morskiej. W Hiszpanii nie miał z początku ani przyjaciół ani protektorów. Jeżeli

ELMIŃSKI.



BITWA.

chciał udać się w głąb kraju, dotrzeć do dworu w Sewilli lub Salamance, to musiał pozbyć się małego syna, dla którego daleka droga sama przez się była uciążliwa a wobec ubóstwa ojca stawała się tem przykrzejsza. Musiał tedy powierzyć syna swego opie-

ce szwagra, zamieszkałego w Huelvie. Połączenia jednak okrętowego między Lizboną a nieznacznie miejscowościami przy ujściu rzek Odiel i Tinto, do jakich Huelva należała, ówczas nie było; natomiast było z San Lucar de Barrameda przy ujściu Guadalquiviru, która to miejscowość tworzyła niejako wstępny port Sewilli. Tu tedy przybył najpierw Kolumb okrętem, aby potem lądem podążać do Huelvy. W podróży tej musiał jednak potrafić o klasztor La Rabida. Droga bowiem z San Lucar idzie wzdłuż prawie pustego wybrzeża i wynosi około 67 km., podróżny jest niejako zmuszony zatrzymać się w klasztorze dla wypoczynku po dwudniowym pochodzie. W tem położeniu znalazł się i Kolumb, kiedy po przybyciu do Hiszpanii w r. 1484 lub 1485, najkrótszą drogą zwrócił się ku Huelvie; znużony przybył po raz pierwszy przed furte klasztoru La Rabida i poprosił dla siebie i syna o chleb i wodę. Po raz drugi przybył przy końcu r. 1491, z obozu pod Granadą i to umyślnie, celem naradzenia się z przeorem Juan Perezem, którego życzliwość i wysokie wykształcenie już przedtem poznał był i ocenić umiał. Uczynił to tem chętniej bo dawniejsze na dworze stanowisko przeora, spowiednika królowej Izabelli, dawało mu zarazem nadzieję otrzymania i z tej strony poparcia. Jak widzimy, przedstawienie takie ma za sobą wiele prawdopodobieństwa, wypełnia znaczną lukę i rozjaśnia ciemny punkt w życiu Kolumba, za jaki r. 1485 uważać musimy.

Jakkolwiek tedy przyjmiemy, czy jednokrotny czy dwukrotny pobyt, to w klasztorze La Rabida nastąpił zwrot stanowczy w życiu Kolumba. List skromnego zakonnika wywarł większy wpływ, aniżeli dotychczasowe własne starania i poparcie możnych. Nowe jednak trudności wywołało żądanie Kolumba niezwykłej nagrody dla siebie i swoich potomków: godności admirała, władzy i tytułu wicekróla odkrytych krajów, dziesiątą część dochodów koronnych, prawa pokrycia ósmej części kosztów uzbrojenia a za to ósmą część odkrytych lub zdobytych krajów i dochodów z tychże wszystkich, żądania, które dziwnie odbijały od ówczesnego ubóstwa Kolumba, tem dziwniej, jeżeli się porówna z lichem wynagrodzeniem, jakiego udzielała ówczas korona portugalska afrykańskim odkrywcom. Do tych wygórowanych żądań przyby-

wała jeszcze obawa możliwych zawikłań w razie udzielenia tak szerokiej władzy jednemu i to cudzoziemcowi. To też królowa, chociaż szczerze życzliwa Kolumbowi, zawahała się. Tenże jednak nie chciał w niczem ustąpić i z podziwieniem musimy patrzeć na niezachwianą wiarę w powodzenie swej podróży. Tak jeszcze w styczniu r. 1492 przerwały się układy a Kolumb zamierzał po raz wtóry opuścić Hiszpanię. Tymczasem jednak zwiększyła się liczba jego protektorów. Ich usiłowaniu powiodło się skłonić królowę do przywołania Kolumba. Goniec dopędził tegoż dwie mile za miejscowością Santa Fé i układ z koroną podpisano już 17 kwietnia. Przygotowaniom tedy do samej podróży nie stało już nic na przeszkodzie. Wcześniej powstało podanie, że królowa wobec wypróżnionego skarbu chciała zastawić swoje klejnoty i temu zapobiegł dopiero podskarbi Luis de Sant Angel, wypożyczając ze swego prywatnego majątku potrzebną sumę. Podanie to jednak nie ma cech wiarygodności. Najpierw suma pieniężna potrzebna na wystawienie i zaopatrzenie trzech okrętów nie było znowu tak wielka. Prof. Sophus Ruge¹⁾ przytacza, że koszta tych trzech okrętów wynosiły 1.140.000 marawedów, czyli uwzględniając wagę i wartość ówczesnych pieniędzy czyniłoby to 28.184 marek niem. lub 16.910 złr. austr.²⁾ Była to, jak widzimy, suma nieznaczna w stosunku do dochodów tak obszernego państwa. Zresztą wydatek ten nie był jednorazowy, tylko rozkładał się na dłuższy czas. Podskarbi Luis de Sant Angel dając poparcie projektowi Kolumba tem samem mówił, że fundusze w skarbie będą. Zważmy dalej, że mieszkańcy portu Palos, z kąd wyprawa wyjść miała, do kosztów się przyczyniali. Na mieszkańcach bowiem tego miasteczka ciążyła jako kara za dawniejsze przekroczenie obowiązków uzbrojenia na żądanie korony dwóch okrętów i złożenia żołdu dla załogi na cztery miesiące. Dopiero trzeci okręt musiał nabyć Kolumb. Natomiast godzi się zapytać, w jaki sposób mógł on wypełnić zobowiązanie, przyjęte w ugodzie, pokrycia ósmej części kosztów wyprawy wobec jawnego ubóstwa swego. To pytanie postawił sobie wymieniony już wyżej badacz Cesareo F. Duro w dziele swem »Colon y Pinzon«³⁾ i odpowiada, że

¹⁾ Ob. Sophus Ruge »Christophe Columbus«. Dresden 1892.

²⁾ Zaznaczyć tu winniśmy, że obliczenie Sophusa Ruge'go co do wartości tej sumy nie zgadza się z poglądami innych uczonych. Według Henryka Harrise (Ob. »Christophe Colomb«, Paris 1884) miały 1.140.000 marawedów dzisiejszą wartość 336.500 franków, a więc 1 marawedi równałby się około 29 i pół centimom, kiedy u Sophusa Rugego miałby tylko wartość 2 i pół fenikom; różnica w ocenieniu wartości, jak widzimy, znaczna. Jeszcze bardziej oddala się od tej wartości J. Rein (Ob. Geografische u. naturwissenschaftliche Abhandlungen, Leipzig 1892) podając wartość jednego marawedi z czasów Kolumba równą wartości dzisiejszych 80 centimów albo 64 feników.

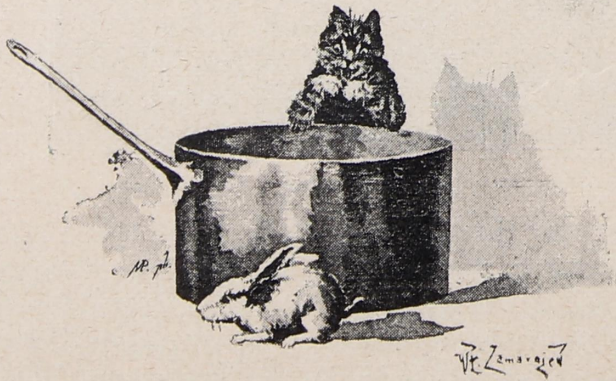
³⁾ Cesareo F. Duro: »Colon y Pinzon«. Madrid 1883.

pieniędzy tych dostarczył Marcin Alonso Pinzon z Palos. W ten sposób wyjaśni się nam dopiero późniejszy stosunek Marcina A. Pinzona do Kolumba i wybór portu Palos, jako miejsca do rozpoczęcia żeglugi. Miasteczko bowiem Palos, położone cztery kilometry na północ od klasztoru La Rabida, po lewym brzegu Rio Tinto, liczy według spisu z r. 1887 nie więcej niż 1422 mieszkańców i zaledwie może uchodzić wobec Huelvy i innych miast andaluzyjskich jako miasto portowe, bo żegluga mieszkańców ogranicza się tylko do sąsiednich miejscowości, a flota do niewielu małych statków. Również i za czasów Kolumba nie miało Palos większego znaczenia, a wybór tego miejsca dla przeprowadzenia przygotowań odnieść należy do wpływu Pinzona i przeora z La Rabidy, Juan Pereza. Nader bowiem ważną rzeczą było dla Kolumba, że znalazł u wpływowej rodziny żeglarskiej w Palos, Marcina A. Pinzona i tegoż dwóch młodszych braci, gorliwe poparcie swego przedsięwzięcia. Kiedy Kolumb w Palos i okolicy werbował majtków i sterników, to nie znalazł z początku nikogo, któryby chciał niebezpieczną, według powszechnego zdania, podróż odbyć. Nawet przyobiecana przez monarchów pierwszemu odkrywcy nowego ładu roczna renta nie zdołała przywabić. Dopiero kiedy Marcin Alonso Pinzon, znany w Palos i okolicy z swej zamożności, doświadczenia w żegludze i energii, oświadczył się za wzięciem wraz z swymi młodszymi braćmi w zamierzonej podróży udziału, to wtedy zgłosiło się z gotowością towarzyszenia wielu, dla których przedtem był Kolumb osobistością nieznaną i nie wzbudzającą zaufania. Niewątpliwie tedy przyczynił się Marcin A. Pinzon do rychłego ukończenia przygotowań i na tem polega główna jego zasługa. Grubą natomiast przesadą grzeszy nadal C. F. Duro, jeżeli twierdzi, że i cała wyprawa nie byłaby przysła do skutku, gdyby był Pinzon swego udziału odmówił.

Z końcem lipca 1492 r. ukończono przygotowania do podróży i oznaczono dzień 3-go sierpnia do wypłynięcia. W wilię odjazdu udała się cała załoga do klasztoru La Rabida, w celu uproszenia przedsięwzięciu błogosławieństwa boskiego. Kolumb przepędził noc całą na modlitwie i rozmowie ze swymi przyjaciółmi w klasztorze. Dopiero nad ranem opuścił wraz z przeorem Juan Perezem klasztor i udał się do portu, gdzie go oczekiwali licznie zgromadzeni na brzegu Rio Tinto mieszkańcy. Na dany znak przez Kolumba ruszyła flota złożona z trzech okrętów z portu Palos na pełne morze, aby po raz pierwszy przepłynąć w poprzek Oceanu Atlantycki. Było to 3-go sierpnia, w piątek, o godzinie 8-ej z rana.

WALERYAN HECK.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Z CYKLU »STARE MIASTO«.

INWOKACJA.

Dawno już, dawno śpicie pod mogiłą,
A oto z drzemki przebudzam was cichej,
Na twarz łagodnie rzucam wam uśmiechy
I serce wskrzeszam, by, jak niegdyś, biło.
Dawno już, dawno w ciemnym śpicie grobie,
Na którym zeszło kwiecie zapominek,
A otom przerwał słodki wasz spoczynek,
A oto znowu chęć was mieć przy sobie.

O, pójźcie do mnie! pójźcie, drogie cienie!
Niech z was opadną całuny grobowe!
W zamarłe piersi ja tchnę życie nowe!
Ja wasze dawne wróćę wam istnienie!
O, pójźcie do mnie! pójźcie! Niech obaczę
Wasze spokojne, uśmiechnięte twarze,
Przy starych gawęd niech podumam gwarze,
Niech w pieśń was zaknę, co śmieje się, płacze...

Niech w pieśń was zaknę, wy cisi i prości,
Niech was ukażę braci mojej młodej,
Tchnących odblaskiem słonecznej pogody
I takich pełnych wiary i miłości.
Wasz jasny orszak może rozpogodzi
Ich serca, w których żmije zwątpień syczą,
Może ze wstydem rzekną i z goryczą:
»Jacyśmy starzy!... jacy oni młodzi!...«

Więc, żem uśpionym tak dawno już temu,
Na chwilę zmaćcił grobowe milczenie,
Przebaczcie wy mi, ukochane cienie,
Przebaczcie wy mi, śpiewakowi swemu!
Nim u gwiazdzistych spotkam was podwoi,
Pochmurną życia strudzonej gonitwą —
Żegnam was... żegnam łzami i modlitwą,
Wy moi starzy... wy serdeczni moi...

OFIAROWANIE.

I.

Gdy jęk po jęku drżał mi w życia hymnie,
Młodzieńczych złudzeń gdy mi pękła zbroja,
Jak dobry anioł ty stanęłaś przy mnie,
Serdeczna, cicha towarzysko moja.

Los nam na drodze rozsiał same głogi,
Szyderskiej ciżby gwar nas gonił głuchy
I razem nasze krwawiły się nogi
I razem nasze słoneczniały duchy.

Gdy to, w com wierzył, podle mnie zdradzało,
Gdy to, com kochał, łudziło mnie kłamnie,

Tyś mi swą istność poświęciła całą,
Tyś żyła dla mnie i cierpiała dla mnie.

Jam winien tobie wszystkich snów lilije
I wszystko szczęście z uczuć czystych zdroja,
Żyję przez ciebie i dla ciebie żyję,
Serdeczna, cicha towarzysko moja!...

II.

Pamiętasz, droga, te jesienne zmierzchy,
Gdy wieczór zwolna miejską tłumił gwarę,
Gdy sierp księżycy wszedł nad domostw wierzchy
I fantastycznie srebrzył Miasto Stare?

Pamiętasz droga, wzniosłych marzeń roje
I te rozmowy, które miłość budzi,
Kiedyśmy śnili, by tak żyć we dwoje
Wśród cichych ludzi i dla cichych ludzi?

Wokół nas dumne piętrzyły się domy,
Kędy garść wspomnień wiek po wieku składał
I duch przeszłości dla nas był widomy
I każdy kamień do serc naszych gadał.

Wśród starych murów, wśród wieczornej ciszy,
My ślali myśl swą, uczuciem bogaci,
Do tych suteryn, facjat i podstryszy,
Do naszych biednych, zapomnianych braci...

III.

Pleśń starych rymów, srebrnej Wisły szumy,
Serc prostych wiara, dusz pogoda grecka,
Od dziecka w pierś mą złote tchnęły dumy
I duszę moją urzekły od dziecka.

Gdy w walkach bytu, marnych a szalonych,
Było nam duszno i ciemno, jak w grobie,
W tym dobrym świecie, w świecie lat minionych
I ty, jedyna, podobałaś sobie.

A kiedym w pieśni wskrzeszał dzieje stare,
A kiedym budził dawno śpiących cienie,
Jam z ciebie czerpał tę słoneczną wiare,
Jam z ciebie czerpał prawdę i natchnienie.

Tętniące prostą nutą staroświecką,
Napoły tęskne... Wiesz po kim i czemu...
Te pieśni moje, ja mieszczańskie dziecko,
Poświęcam tobie, dziecku mieszczańskiemu...

OR—OT.

KONIEC MORSTINA.

STUDYUM HISTORYCZNE Z CZASÓW JANA SOBIESKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Morstin w świeżem zwycięstwie zaczerpnął otuchy do prowadzenia dalszej intrygi; zabrał się do agitacji w szerokim zakresie, jakby nie miał już nic w Polsce do stracenia. Pałac jego w Warszawie zamienił się na przytulisko dla bankrutującego francu-

skiego systemu i kuźnię, w której depesze wersalskie w miarę możliwości przyoblekały się w rzeczywistość. Jan ani na chwilę nie rozstając się z myślą ligi, obrał sobie za wytyczną linię polityki wewnętrznej krzyżowanie francuskich wpływów. Kiedy w sierpniu roku

1681 opuścił biskup belowaceński dotychczasowe stanowisko zostawiając na słabych barkach markiza de Vitry ciężar poselstwa, król rozpoczął natychmiast działalność energicznie. I tak chwalił się przed zafrasowanym markizem odkryciem zrywaczy sejmu; za usługę w tym kierunku przypisywał wyłącznie przedstawicielom Francji; wymienił nawet niedyskretnie nazwisko donosiciela wojewody Grzymułtowskiego, który za tysiąc dukatów miał wykonać operację, a potem przyszedł wybłagać u króla przebaczenie¹⁾. Morstin odgrywał rolę pośrednika i spowiednika względem obu stron, mianowicie oskarżającej i oskarżonej. Jan gorzkie zawodził przed nim żale na wiarołomstwo Ludwika, pragnąc aby skarga doszła do Wersalu i wywołała wstrzeźliwość w buntowaniu przeciw lidze, Forbin Janson zaś troskliwy o poparcie Sobieskiego w sprawie uzyskania kapelusza kardynalskiego czempredzej wyprawił na ręce podskarbiego list otwarty, w którym się wyprzysięgał łączności z opozycją. Zarzuty odnoszący się pośrednio i do Morstina jako przyjaciela biskupa belowaceńskiego i markiza de Vitry, to też on przezornie wychylając się z poza krutek swego konfesyonału, przyrzekał cierpliwie oczekiwać zapowiedzianych przez króla dokumentów, a na razie uroczyście się wyparł wszelkiej świadomości o występku ambasadorów²⁾. Ludwik uważał za autorów »komedy« austriackich dyplomatów, de Vitry widział w niej wędkę mającą dopiero wyłowić kompromitujące dowody i zniszczyć polityczny kredyt francuski wobec przyszłego sejmu³⁾. Na dnie niewiele znaczącego epizodycznego wypadku i kilku mu towarzyszących dworskich i nie dworskich komeraży spoczywała istota prawdy dobitnie wróżącej, że starania o wybudowanie złotego mostu zgody między Wersalem a Warszawą zostaną próbą bezpłodną. Zrozumiał sytuację niezwłocznie Morstin; — nie zrozumiał aż nadto naiwnie de Vitry. Różnica zapatrywań stworzyła nieufność wzajemną między tymi dwoma ludźmi, stworzyła i zawiść zazdrosną, wkradającą się zawsze tam, gdzie z rzeczywistą zdolnością nieudolność i płytkość walczy o lepsze. W podskarbiu kojarzyła się doskonała bystrość z politycznym zmysłem i praktyką; w markizie zespalała się cudaczna łatwowierność i optymizm z rażąco małą przenikliwością. W najczarniejszym pryzmacie widywał on jeszcze jasne plamy i szedł za ich połyskiem — niepomny, że to tylko plamy. Systematycznie dlatego okadzał depesze błogiem nadziejami, a okadzał po części z wrodzonego niedołęstwa, po części dla zyskania ufności swoich zwierzchników i zaoszczędzenia sobie losu rozbitka na zajmowanym stanowisku. Był czas gdy zarówno on jak Morstin przypuszczali możliwość pojednania Sobie-

skich z Ludwikiem; jeszcze w połowie roku 1682 wierzył podskarbi w złamanie uporu królewskiej pary za cenę ustępstw prywatnych na jej korzyść, ale wnet dopatrywał się wyższej racji w usposobieniu Jana i po nabyciu tego przekonania liczył dni dla resztek wpływu francuskiego w Polsce, gdy przeciwnie de Vitry ustawicznie uważając dyplomację dworu za dyplomację wyłudzenia pieniędzy i brewetów dla markiza d'Arquien odganiał skrętnie widmo ligi, zbierał w raportach setki razy wyluszczone poglądy, naśladował sam siebie; wreszcie linia po której stapał odbiegła nieco od linii działania Morstina. Pomocnik podobnym obdarzony temperamentem nie podobał się podskarbiemu, to też bynajmniej nie zatajał, że ku wielkiej jego zgryzocie cyfra adherentów francuskich prędko topnieje¹⁾, że stronnictwo się rozpręga, a de Vitry odbiera zewsząd oznaki obojętności i wzgardy²⁾. Wyłęgała się nawet pogłoska o powrocie de Béthune'a do

Warszawy; pogłoska zawiadła, lecz Morstin chcąc złagodzić i tam gdzie należało przedstawić wierny obraz położenia, poza plecami ambasadora własne redagował depesze i chociaż nie wyprawił ich bezpośrednio do ministerstwa spraw zagranicznych tylko na ręce biskupa Jansona lub pana de Callières mógł być pewny, że natychmiast znajdą się w tece Colberta markiza de Croissy. Kawaler Franciszek Callières pan de Rochelay i Gigny, szlachcic normandzki, sekretarz gabinetu Ludwika XIV, od lat kilku załatwiający różne komisje podskarbiego, począwszy od zakupna peruki, skończywszy na pełnomocnictwie w spekulacjach finansowych, wraz z Forbin Jansonem pośredniczył między prywatną ambasadą Morstina a władzami rządowymi w Wersalu; wskutek czego zdziwiony i przerażony de Vitry wyczytywał od czasu do czasu w instrukcjach swego monarchy ostrzeżenia, tchnące

podejrzliwością i prostujące pomyłki jego dobrodusznych sprawozdań. Pod datą 22 sierpnia 1682 roku dzielił się w następujący sposób wiadomościami z jednym z swoich korespondentów: »Nie wierzę, że zawarto ligę ze Szwecją, ale bardzo myślą o tem... Możliwe jest posprzeczać z elektorem, a to sprowadzi przymierze ze Szwecją... Nasz dwór przedsięwzięcie otwarcie środki przeciw waszemu w celu ubezpieczenia się... Nic nie masz przyjemniejszego dla dworu ponad odcięcie się od Francji i nie dają, ani nie dadzą nikomu nic, jak wyłącznie pod tym warunkiem... Zbliżanie się Turków od strony Krakowa gdzie w jednej kampanii możemy zginać, przypisywane jest Francji. Jest to kraj, w którym się żyje jak w Szwajcaryi... Pan strażnik jest wściekły na dwór...«³⁾. Wściekłość



KRZYSZTOF KOLUMB.

(Podług portretu należącego do miasta Vicenzy).

¹⁾ A. h. P. T. VII. str. 241.
²⁾ B. o. M. cz. III. nr. 118. List króla do Morstina i odpowiedź tegoż. A. h. P. T. VII. str. 242 sq.
³⁾ A. h. P. T. VII. str. 147. sq. 244, 247.

¹⁾ B. o. M. cz. III. nr. 106. Morstin do Jansona. »Je vous assure Monseigneur, qu'il y en a peu en Pologne et que le nombre en diminue fort avec mon grand chagrin.«

²⁾ Tamże. nr. 127. Morstin do de Callières.

³⁾ B. o. M. cz. III. nr. 115. Nie wiadomo czy list pisany do Jansona czy do de Callières'a.

RAFAEL ARMENISE.



KRZYSZTOF KOLUMB Z ROZKAZU BOBADILLA OKUTY W ŁAŃCUCHY
I ODEŚLANY DO HISZPANII.

pana strażnika koronnego Stefana Bidzińskiego wynika z żalu z powodu pominięcia go przy rozdawnictwie wakansów, a Morstin serdecznie cieszył się z niechęci poruszanej wskutek ogłoszenia opróżnionych urzędów, bo za jednego zadowolonego i niezbyt wdzięcznego przysparzał sobie król stu wrogów: »vacant beneficia augentur beneficia«¹⁾.

Na korespondencji nie kończył się zakres czynności Morstina, wciągnął on zarazem w sferę działania swego przynęcanie zwolenników Francji, bądź za pomocą podkupowania, bądź za pomocą obietnic. Od dnia śmierci Dymitra Wiśniowieckiego i Michała Paca, wojewody wileńskiego, ubyło w Koronie i na Litwie dwóch potężnych wielbicieli Austrii. Po dynastji Paców objęła na Litwie berło wpływów dynastja Sapiechów, złożona z trzech braci, na nią też zwrócił oko nasamprzód Morstin i najgładziej pozyskał wielkiego podskarbiego Benedykta, który za bezinteresowną... przyjaźń domagał się tylko klejnotów dla żony²⁾. Jak się niebawem okazało, Sapiehowie nie byli pewnym nabytkiem, albowiem skoro najstarszy Kazimierz po Pacu wziął buławę, zaraz oświadczył, że dopóki Sobieski nie otrzyma żądanych ustępstw, on wraz z rodziną nie użyje poparcia ambasadorowi³⁾. W Koronie trudno było agitować, tu wojewoda ruski Jabłonowski w oczekiwaniu wielkiej buławy dwulicowo się zachowywał, Wielopolski kręcił się koło dworu; najwierniej przy sztandarze francuskim stali: Grzymułtowski i Jan Małachowski, biskup krakowski. W Prusiech udało się pozyskać Morstinowi wpływowy ród wojewody malborskiego Franciszka Bielińskiego, odkąd jego córka Ludwika Marya poślubiła syna wojewody, Kazimierza, starostę marienburskiego. Podskarbi rad był ten wypadek familijny podnieść do znaczenia politycznego faktu, gdyż prosząc kardynała Bonsy, ojca chrzestnego panny młodej i osobno Ludwika o zachowanie praw należnych jej wskutek nabytej naturalizacji, wyznawał: »przez to małżeństwo wprzegam dom potężny w rydwan interesów i usług dla Waszej Król. Mości, a dzieci moje w jakiegokolwiek strony losy lub urodzenie zapędzą, wiecznie będą pamiętać, że wywodzą pochodzenie od ojca, który za swoje wsławienie i wyniesienie jest najposłuszniejszym i najwierniejszym poddanym Waszej Król. Mości«⁴⁾. Nie tylko na redagowaniu sprawozdań i pośredniczeniu w stosunkach krajowych ustawała czynność podskarbiego, zausznicy paryscy pobudzali go do przedsięwzięcia prawie niewykonalnego, do pogodzenia króla z polityką francuską.

Na schyłku roku 1681 podniósł Tököly porzuconą chwilowo chorągiew powstania; wysłańcy jego Stefan Géczy, Andrzej Radies i Samuel Tunyogi udali się do Carogrodu błagać o pomoc przeciw cesarzowi⁵⁾, nad ziemią świętego Szczepana świeciła znowu łuna wojny. Ludwik zasiłał rokoszan wojskiem zaciąganem w Polsce i pieniędzmi, które dostawały się na miejsce przeznaczenia wąskimi przesmykami Karpat, drogą stryjską i gościńcem skolskim. Odkąd Sobieski widocznie zbliżał się ku dworowi wiedeńskiemu niechętnie patrzył na przesyłki francuskie, które dawniej przeprawiano za królewskim upoważnieniem i pod osłoną królewskiego protektoratu. Do wiejskiej

rezydencji Jana w Jaworowie przybywali posłowie Tököly'ego; naprzód Nemesany, potem Faigel, aby złagodzić nieufność i chwiejność króla i wpoić w niego przeświadczenie, że wojna w Węgrzech dostarczając zajęcia Turkom, odwraca oręż turecki od rzeczypospolitej¹⁾; jednakże Sobieski odmiennie pojmował położenie. Zjechał także na Ruś w lutym roku 1682 sprytny agent Ludwika dla Węgier i Siedmiogrodu pan du Vernay-Boucault i wraz z jego zawitaniem ożywiła się pograniczna gospodarka, aż nuncyusz papieski i rezydent cesarski żądali wygnania szkodliwego Francuza²⁾. Skutkiem tego zakazano nadal wszelkich stosunków z Węgrami, a du Vernay'owi polecono wynieść się z sąsiedztwa dworu³⁾. W Wersalu odczuto dotkliwie zamknięcie stryjskiego gościńca i poczyniono niezwłocznie próby w celu odzyskania utraczonej korzyści. Ambasador francuski w Carogrodzie Guilleragues zagroził wielkiemu wezyrowi interwencją Francji, gdyby Turcy Polskę napadli⁴⁾, równocześnie Ludwik ofiarował Sobieskiemu sto tysięcy liwrów rocznej pensji⁵⁾, przyrzekał wypłacić sumy dłużne przez Szwecję miastom pruskim, których poręczycielem był Jan i jeszcze raz ponowił gotowość ozdobienia markiza d'Arquien mitrą księcia bez weryfikacji. I któż miał skłonić Sobieskiego do przyzwolenia na punktacye, kto miał wymódz przebaczenie i pobłażliwość dla mistrzów w gatunku du Vernay'a? Nikt inny, tylko Morstin. Podskarbi z początku drożył się pozornie: nie odczuwał ochoty mieszania się jawnie w stosunki dwóch dworów, z których jeden prosił, a drugi nie chciał wysłuchać; w gruncie rzeczy skwapliwie objął mandat rozjemcy i usprawiedliwiał to arcyważne poświęcenie pragnieniem związania »obu swoich królów« przyjaźnią. Zaraz też zagrał »uwerturę ugodową«, a zagrał ją zrećnie, bo napisał do Sobieskiego ogólnikowy list z wyrażeniem radości z powodu otrzymania wieści z Paryża od Jansona, iż w Wersalu poczyniono pewne kroki w kierunku załatwienia pretensyj pary królewskiej i odbudowania rozprzężonej zażyłości. Bliższych wskazówek i objaśnień miał upoważnienie udzielić de Vitry. W liście rozmyślnie nic konkretnego nie powiedział Morstin, bo z odpowiedzi królewskiej spodziewał się naprzód poznać usposobienie Maryi Kazimierzy. Sobieski tymczasem przeraźliwie zawiódł jego oczekiwania — i czy istotnie nic nie wiedział, czy też wystrzeżał się pertraktacji z podskarbisem — udawał niezrozumienie o co właściwie chodziło, a na dowód prawdy zaznaczał, że de Vitry od jakiegoś czasu sznurował usta i wyłącznie za temat konwersacji obierał porę roku lub odmiany powietrza! Wątpliwość szarpała Morstina, posadzał to króla o fortel, to znowu zastanawiał się czy Vitry nie znalazł gruntu dla propozycji »bardzo kamienistego i nie chcąc popełnić błędu rolnika z ewangelii« schował na razie instrumenta ugodowe do kieszeni. Upewnił tedy króla, że posiada dowody na stwierdzenie rzetelności udzielonej mu w liście informacji i badał próżno zagadkę, gdyż »nie lepszą miał Edyp niż ten kto ją ułożył«⁶⁾. Daremnie łamał sobie głowę, opóźnienie było jedną jeszcze więcej cyfrą w licznym szeregu błędów i zami-

¹⁾ Tamże. nr. 113, 114.

²⁾ A. h. P. T. VII. str. 181.

³⁾ Tamże. str. 249—252.

⁴⁾ B. o. M. cz. III. nr. 112, 123.

⁵⁾ Fessler: Geschichte von Ungarn. T. IV. str. 389.

¹⁾ B. o. M. cz. III. nr. 100. — A. h. P. T. VII. str. 222.

²⁾ B. o. M. cz. III. nr. 101.

³⁾ Tamże nr. 102.

⁴⁾ Tamże. nr. 137. dalej Klopp Onno: »Das Jahr 1683 und der folgende grosse Türkenkrieg.« str. 114.

⁵⁾ A. h. P. T. VII. str. 252. sq.

⁶⁾ B. o. M. cz. III. nr. 119. Morstin do Jansona. d. 19 września. 1682.

łowania do zwłoki ambasadora. Zanim Morstin mógł naprawdę rokowania zadzierzgnąć wydarzył się epizod, który ich bezużyteczność w najjaskrawszym okazał oświeceniu.

Dnia 15 września zagajono sejmiki wojewódzkie. Morstin z okazji tego zapowiadał panu de Callières, że w »uszech mu z pewnością dzwonić będzie«¹⁾. Partya francuska i austriacka wyprzedzały się na wyścigi w wyszukiwaniu zwolenników. Na Mazowszu, w Wyszogrodzie nie źle wiodło się towarzysom podskarbiego, w Sandomierzu »nie dali się więcej podejść jego przyjaciele, ale dokonali czego pragnęli, byli odważni i mocni aby zwyciężyć, ale służalczą cierpliwość przeciwników wydarła sposobność«²⁾. Już 19 września słycać było o siedmiu zerwaniach, wnet ich liczba wzrosła do piętnastu, w końcu nie wiedzieć ile sejmików doszło do skutku. Gdzie nie powiodło się przeprzeć korzystnych instrukcyj lub wyforytować kandydatów własnej barwy, zakładano protest; walka żywym tryskała roznamietnieniem. Zerwane sejmiki miały się zebrać w grudniu. Dwór usiłował ubezpieczyć się co do ich wyniku, zaszkodzić adherentom francuskim przez wywarcie nacisku na społeczeństwo. Polowano także na sensację, życzone sobie drastyczne urządzić pożeganie z sympatjami dla Ludwika. Za-inscenizował zatem Sobieski na spółkę z cesarskim rezydentem Krzysztofem von Zierowa baronem Zierowsky'm wielką polityczną manifestację 6 października w Jaworowie. Gdy du Vernay wraz z Vitrym przed odjazdem króla do Stryja udał się na pożegnalne posłuchanie, zastał komnatę po brzegi napełnioną zagranicznymi posłami, dostojnikami dworu, zbiego-

¹⁾ Tamże, nr. 118.

²⁾ Tamże, nr. 119.

wiskiem podrzędniejszej szlachty — i ledwie próg przestąpił — oddeklamował Zierowsky z uniesieniem łaciński ekskurs przeciw niemu, jako wrogowi chrześcijaństwa, poczem wręczył królowi przejęty list du Vernay'a do Tököly'ego. Odtąd pobyt du Vernay'a w Rzeczypospolitej stawał się niemożliwym. Na szczęście Ludwik uratował sytuację, odwołując go, zanim jeszcze miał wiadomość o scenie w Jaworowie, do Gdańska¹⁾. W tym czasie ze wzgardą odtrącił Jan ofiarę pieniężną, świętość obowiązku nad wszystko wynosząc; Ludwik zaś pod wpływem rozgoryczenia nakazał w każdym kierunku krzyżować zabiegi dworu markizowi de Vitry i wspólnie rozpocząć akcję z świeżo wyprawionym do Warszawy posłem brandeburskim von Krockow²⁾. Do ostatniej wszakże chwili dopokąd godność pozwalała, starano się wytargować drobne choćby ustępstwa w sprawie węgierskiej przez poróżnienie królewskich małżonków. Osobno wyciągano na rozmowę Sobieskiego, osobno Maryę Ludwikę. Przyzwyczajony do otwierania bram warownych miast i serc panujących przekupstwem, powątpiewał Ludwik o powodach wypływających z głębi duszy i charakteru swojego niegdyś pensjonarza — i mimo sceny w Jaworowie i niedwuznacznie okazywanej odprawy — jeszcze w depeszy z 10 grudnia zalecał ambasadorowi przez Morstina podsunąć królowi — tak, aby królowa niczego się nie domyślała — raz już ofiarowaną listę ustępstw³⁾.

¹⁾ Załuski: Epistolae historico-familiares. T. I. p. 2. str. 796. — Theatrum Europaeum, T. XII. str. 440. Zamieszczone tu: mowa, memoriał rezydenta i list przejęty do Tököly'ego. — A. h. P. T. VII. str. 269. sq. Depesza Vitry'ego w tej sprawie.

²⁾ A. h. P. T. VII. str. 291 sq.

³⁾ Tamże. — str. 301.

ERNEST DEICHES.

(Ciąg dalszy nastąpi).

RUCHOME UNIWERSYTETY W ANGLII.

M. E. Sadler. University Extension. — 4 edycja. 1893.

Niewielka książeczka, z której zamierzamy zdać sprawę czytelnikom, doczekała się w ciągu ostatnich lat trzech — aż czterech wydań. Wraz z pracą p. Moultona, poświęconą temu samemu przedmiotowi, jest ona zasadniczym źródłem do poznamienia się z jedną z najciekawszych, najoryginalniejszych instytucyj angielskich w dziedzinie oświaty. W terminologii miejscowej nosi ona nazwę *University Extension*, co znaczy dosłownie: rozszerzenie uniwersytetów; lecz właściwiej i zrozumialej będzie wyrazić się: *uruchomienie uniwersytetów*.

Jak dobrze wiadomo, oświata publiczna nie należała w Anglii — aż do ostatnich czasów — do atrybucyi państwa a znajdowała się w ręku społeczeństwa wogóle a Kościoła w szczególe. Wprawdzie pod wpływem szerzących się demokratycznych idei państwo podjęło się już dyrekcji oświaty elementarnej i przygotowuje się do czynienia tego samego w oddziale średniej. Oświata wyższa uniwersytecka pozostaje jednak dotąd i pozostanie prawdopodobnie na długo jeszcze po za sferą jego działalności, choćby nie z innego powodu jak z braku funduszków. Oxford i Cambridge, dwie wielkie, niespożyte zasługami dla wiedzy i urokiem tradycyi uświęcone uniwersytety, pozostaną ogniskami najświetniejszymi nauki, a niedawno utworzony uniwersytet londyński — jeżeli oprócz posia-

danego przywileju wydawania dyplomów otrzyma organizację wykładów naukowych — stanie obok nich — *longo intervallo*.

Nie ma wątplenia, że ta szczupła ilość uniwersytetów w kraju tak wielkiej zamożności i cywilizacyjnego poziomu tak wysokiego — jest szkodliwym brakiem. Tem dotkliwszym się on stawał gdy nowo wyemancypowane warstwy towarzyskie domagały się nie tylko dobrodziejstw oświaty wyższej, ale i tych przywilejów, które jedynie uniwersyteckie dyplomy dają. Ażeby istniejącemu niedostatkowi zapobiedz, dwie wszechnice Oxfordu i Cambridge postanowiły uruchomić się, uorganizować na całej przestrzeni kraju wykłady semestralne przez swoich profesorów, docentów, lektorów i *fellows*. Skoro Mahometowi nie jest dozwolonem przyjść do góry, góra puściła się w ruch ku Mahometowi.

Był to pomysł nie tylko oryginalny, ale i istotnej obywatelskiej doniosłości. Uniwersytety angielskie były dotychczas monopolem szczupłej liczebnie uprzywilejowanej warstwy towarzyskiej. Trzeba było mieć do rozporządzenia kilka lat czasu wolnego od innych zajęć, trzeba było posiadać znaczne fundusze — niezbędne dla studentów — i nakoniec trzeba było być członkiem państwowego anglikańskiego kościoła i podpisać swe credo w 36 artykułach Kanonu! Uniwersytety

Artyści „starego” teatru w Krakowie.



RYGIER. — RUSZKOWSKI. — SOBIESŁAW. — ANTONIEWSKI.
WERNER. — STĘPOWSKI. — DOROWSKI.

ruchome, zjeżdżając do prowincjonalnych ognisk, nie klasyfikują słuchaczy, ale zaciągają pod swą chorągiew wszystkich, co z dostarczonej im wiedzy chcą korzystać. W miejsce monopolu i przywileju pojawia się konkurencja i swoboda.

Oddawna noszono się z myślą urzeczywistnienia tego planu zalecanego przez wszystkie światłe umysły i uniwersytety same utworzyły nareszcie komisje z misją przedstawienia sobie systematycznego planu. Znalazły się one wobec mnóstwa projektów, z których jedne były zbyt skomplikowane, drugie nie praktyczne. Pierwszy krok ku swemu uruchomieniu zrobiły oba uniwersytety w 1858 roku, gdy się zgodziły przypuszczać do egzaminu i wydawać dyplomy osobom, które jako studenci matrykulowani nie byli. Drugim równie postępowym krokiem było przypuszczenie kobiet na równo z mężczyznami do tych egzaminów i dyplomów. Niebawem jednak ze wszęch stron pojawiać się zaczęły żądania czegoś więcej, a mianowicie wykładów samych. Pierwszy odpowiedział temu żądaniu słynny profesor z Cambridge, James Stuart, którego można uważać jako inicjatora i duszę całej tej organizacji. Zaczął on w 1867 r. miewać wykłady w Leedi, Liverpoolu, Manchesterze, Sheffieldzie. Przedewszystkiem szło mu o wpojenie w publiczność przekonania, że nie należy bynajmniej stawiać jednorazowych, publicznych odczytów na tym samym poziomie, który on uosabiał. Ażeby wykład uniwersytecki był korzystny, powinien być nie oderwanym z całości naukowej epizodem, ale powinien przedstawiać systematyczną całość; potrzeba mu tedy szeregu lekcji, i ciągłej pracy słuchacza nad traktowanym przez profesora przedmiotem, czynnego współdziałania pomiędzy nauczającym a nauczonym. Myśl podjęta szczęśliwie zastała grunt należycie przygotowany. Uniwersytety utworzyły syndykaty specjalne do organizowania po całej przestrzeni kraju wykładów. Ruch urzędownie rozpoczął się w 1872 roku i odtąd nie przestał rosnać w siły i rozgałęziać się; w r. 1876 uniwersytet londyński utworzył także — za inicjatywą p. Goschena — komitet w tymże celu. Istotnie plan całościowy wszedł w życie dopiero w 1885 roku. Statystyczne wykazy zatrzymują się na 1891 r. W tak krótkim przeciągu czasu pokazują już one zastanawiające rezultaty. I tak: Oxford, Cambridge i Londyn uorganizowały w ciągu tych siedmiu lat 629 kursów wykładowych, na które uczęszczało przeszło 60.000 słuchaczy. Gdy się ma z tego rozmiaru cyframi do czynienia, gdy wszyscy kompetentni sędziowie przepowiadają potężny wzrost tego ruchu, gdy opinia kraju, a niebawem i parlament postawi tę sprawę na porządku dziennym, to warto przyrzeć się jak organizm ten funkcjonuje.

W pierwszych latach tego ruchu około decentralizacji wyższej oświaty inicjatywę brała zazwyczaj jaka wybitna i wpływowa osobistość danej miejscowości — po większej części były to kobiety — i po porozumieniu się z komitetem uniwersyteckim sprowadzano profesora, który miewał wykłady w jakiej wielkiej sali miejskiej a nawet w prywatnym mieszkaniu na ten cel użyczonem. W miarę rozpowszechnienia instytucji władze uniwersyteckie wchodziły w porozumienie z zarządami municypalnemi miast, które brały na siebie materyalną stronę organizacji. Od czasu ustanowienia Rad powiatowych (*County Councils*) te ostatnie wzięły natychmiast na siebie rolę szerzenia wyższej oświaty i zauważyć można na-

wet między niemi szlachetną rywalizację. Każda z nich stara się zabezpieczyć dla siebie jakiego rozgłosnej sławy profesora. Po większej części gdy wybór przedmiotu leży w ręku władz prowincjonalnych, wybierają one przedmioty budzące specjalny interes wśród mieszkańców; i tak okręgi górnicze pragną wykładów geologii, miasta handlowe — ekonomii politycznej, ogniska fabryczne — historii odkryć i wynalazków. Coraz częściej jednak — w miarę uznania pożytku wykładów — ujawniają się życzenia przedmiotów, że się tak wyrazimy bezinteresownych, jak np. astronomii, historii, literatury, etc. Nie można jednak zaprzeczyć — i w tem leży charakterystyczna strona angielskiej społeczności — że przedmioty utylitarne i nauki ścisłe posiadać będą dla słuchaczy więcej ponęty, aniżeli czysto literackie albo historyczne.

Po obraniu przedmiotu i profesora, ten ostatni otwiera swój wykład, trwający zazwyczaj trzy miesiące; po upływie ich, inny przedmiot wykładany jest przez drugi kwartał zimowy, tak, że słuchacze mogą przez każde półrocze zaznajomić się z dwoma przedmiotami. A nie jest to bynajmniej powierzchowna amatorska praca, dla tych przynajmniej słuchaczy, którzy chcą brać ją na seryo. Profesor po odczycie, trwającym godzinę — zazwyczaj wieczorem, ażeby uczęszczającym nie przeszkadzać w obowiązkowych dziennych zajęciach — poświęca drugą godzinę na prywatną lekcję dla tych słuchaczy, którzy pragną wyświecenia bliższego trudniejszych kwestyj. Oprócz tego odpowiada na wszystkie naukowe zapytania piśmiennie anonimom, adresowanym doń pomiędzy dwoma wykładami. Taki osobisty stosunek profesora do słuchaczy pozwala mu niebawem ocenić wyższe i samodzielne inteligencje, które tylko rozbudzenia potrzebowały, ażeby o własnych puścić się siłach. Każdy z profesorów ogłasza w formie broszury program i streszczenie swego kursu, wraz z odnośną do niego bibliografią. Oprócz tego uniwersytet Oxfordzki wysyła każdego ze swych profesorów zaopatrzonego w podróżną bibliotekę książek do wykładu się odnoszących. Słuchacze mają możliwość korzystania z niej w sali przyległej do wykładowej. Uwieńczeniem tych wykładów są nakoniec egzamina słuchaczy, którzy pragną mieć uniwersyteckie dyplomy. Do przeprowadzenia takowych, komitet uniwersytetów deleguje zawsze innego profesora, nie tego który miewał wykłady. Zazwyczaj jedna dziesiąta słuchaczy do egzaminów przystępuje, a mają one tę jeszcze dobrą stronę, że słuchacz, który już posiada kilka matrykulacji z prowincjonalnych kursów, może je — gdy się uda do Oxfordu lub Cambridge na regularne uniwersyteckie studia — wciągnąć do liczby przedmiotów niezbędnych do otrzymania całościowego dyplomu. Nie tylko więc te kursa roznoszą wyższą oświatę do różnych zakątków kraju, ale przyciągają następnie studentów do samej *alma mater*. Ci, którzy się obawiali, że uruchomienie uniwersytetów pociągnie upadek i wyludnienie owych potężnych ognisk naukowych, przyznają obecnie otwarcie, że stało się przeciwnie i że znalazły one w nich nader użytecznych agentów.

Ale nie na tem kończy się jeszcze związek uniwersytetów z ich rozsądnymi. Co rok słuchacze zapraszani są w czasie wakcyj na odwiedziny do uniwersytetu, w którego naukowym okręgu się znajdują, i podejmowani są tam przez kilka tygodni. Nie tylko stoją dla nich otworem muzea, laboratoria i biblioteki, ale w kollegiach urządzone są dla nich specjalne od-

Artyści „starego” teatru w Krakowie.



SOLSKI. — SIEMASZKO. — JEJDE. — ŚLIWICKI. — FELIKSIEWICZ.
WÓJCICKI. — BARSKI. — JANIKOWSKI. — ORDYŃSKI. — RADŁOWSKI.

czyty i wykłady podzielone na dwie klasy: ogólną i specjalną. Jak licznie zjazdy te są nawiedzane, pokazuje cyfra ostatniego roku: 1.110 słuchaczy było w Oxfordzie na kursie ogólnym, a 250 na specjalnym. Dla słuchaczy niezamożnych, a odznaczających się wyjątkowymi zdolnościami i żądzą wiedzy, uniwersytety przeznaczają z znacznych funduszy, jakimi rozporządzają, albo jednorazowe zasiłki albo regularne stypendya.

Strona finansowa całej tej organizacyi także pominięta być nie powinna w naszym sprawozdaniu. Uniwersytet płaci wyznaczonemu przez się profesorowi za dwanaście wykładów, stanowiących kurs, sumę 45 funtów szt. i jakie 20 funtów dodatkowych na koszt podróży, laboratorium, pocztę etc. Słuchacze kupują bilety wejścia na cały kurs po cenie, która nie przenosi nigdy 5 szylingów, jest zatem dostępną nawet dla klas najmniej dostatnich. Finansowych korzyści uniwersytety na tej decentralizacyi naukowej nie mają, bo jak znajdujemy w wykazie za r. 1890/91, Oxford i Cambridge dołożyły ze swej kasy po 8.000 funtów, a Londyn 5.600 f. szt. na organizację 450 kursów. Nie ma wątplenia, że bogaci mecenasowie nauki i sztuki będą opiekować się temi instytucjami i naśladować pod tym względem amerykańskich bogaczy, sypiących dolarami na cele naukowe. Państwo także ze swych funduszy zasiłku nie odmówi. Gdy w roku zeszłym kanclerz skarbu p. Goschen znalazł się wobec nieprzewidzianego dochodu z gorących trunków, oddał z nich 15.000 funtów na wyższą oświatę. Przy rozdzieleniu tej sumy uruchomione uniwersytety

małą tylko otrzymały sumę; przy wzrastającym ich znaczeniu będzie bezwątpienia na przyszłość inaczej. A że znaczenie i wpływ ich są nadzwyczajne, staje się z każdym rokiem dotykalszym. Całe nowe warstwy społeczne poczuwają potrzebę gruntownej naukowej karmi. Nadzwyczajną gorliwość w uczęszczaniu na wykłady okazują kobiety: otwiera dla nich wiedza nowe światy; poziom umysłowy każdego rodzinnego ogniska — około którego zasiadają — podnosi się i uszlachetnia. Największe usługi oddają te wykłady licznej klasie nauczycieli elementarnych i średnich, gdyż znajdują oni w nich nie tylko bodziec do naukowej pracy ale i środek łatwy do dopełnienia swego technicznego wykształcenia. Lecz najbardziej widoczny wpływ wywierają one na klasę robotniczą. Zapal szczery, z jakim robotnicy w Newcastle i Nottingham zaczęli uczęszczać na wykłady był taki, że w ciągu ostatniej zimy obok dwóch uorganizowanych wykładów, było trzeba dwa drugie otworzyć. Nie nowy to zresztą okaz w społeczności angielskiej. Wszystkie wyższe szkoły, kolegia i techniczne instytucje zakładane w ostatniej ćwierci roku w Liverpoolu, Manchesterze, Birminghamie etc. liczą pomiędzy swymi najgorliwszymi uczniami przedstawicieli klasy robotniczej. Ażeby tej żądzy oświaty zadość uczynić, otwierają z każdym rokiem nowe zakłady o luźnym dość programie, które się nazywają Politechnikami. Objazdowe, uruchomione uniwersytety są ostatniem ogniwem w tym łańcuchu i pozwalają korzystnie rokować o umysłowym wykształceniu angielskiego społeczeństwa w przyszłości.

M. E. NEKANDA-TREPKA.

K R O N I K A.

* Bolesną stuletnią rocznicę drugiego zbioru Polski obchodził Kraków i Lwów, oraz kraj cały w d. 23 września w poważnym smutku. Tak w jednej jak w drugiej stolicy odbywały się w wielu świątyniach nabożeństwa uroczyste, zakończone odśpiewaniem pieśni patriotycznych.

* Sędziwy poeta, Kornel Ujejski, otrzymuje nieustannie nowe dowody czci od instytucyj krajowych i mieszkańców Galicyi i W. Ks. Poznańskiego, na które odpowiada serdecznie, pełnemi ciepła listami. Do najmilszych dlań należał bezwątpienia adres włościan z powiatów, które odegrały w 1846 roku rolę »ślepego miecza«. Ramy naszego pisma nie pozwalają nam o wszystkich wspominać, streszczając się zatem zaznaczamy tylko, że liczba ich jest bardzo znaczną, i że we wszystkich tętnią uczucia najszczerzej miłości dla autora »Skarg Jeremiego«.

* W d. 24 września odbył się we Lwowie pierwszy zjazd delegatów towarzystw muzycznych i śpiewackich polskich i ruskich, w sprawie utworzenia związku, mającego objąć kraj cały i połączyć w jedną całość wszystkie jego siły artystyczne, w celu rozwijania sztuki narodowej polskiej i ruskiej. Związek ten, w myśl inicjatywy lwowskiego Tow. muzycznego ukonstytuował się jednomyślną uchwałą delegatów. Ułożono paragrafy statutu pod przewodnictwem dyrektora Władysława Żeleńskiego i prof. Wachnianina, a wystylizowaniem ich ostatecznem zająć się ma komisya złożona z pp.: Barabasa, Galla, Biernackiego, Wachnianina, Steibelta, Tchórnickiego, Małachowskiego, Cewińskiego, Orłowskiego i Totha, poczem złożone będą Namiestnictwu do zatwierdzenia. Po zatwierdzeniu statutów zwołany ma być powrotny zjazd delegatów, na którym ci wybiorą

wydział, obmyślić mający program produkcji związku zjednoczonych towarzystw muzycznych w roku przyszłym we Lwowie na wystawie krajowej.

* Rada miasta Lwowa uchwaliła poruczyć wykonanie pomnika Jana III panu Tadeuszowi Barączowi, za wynagrodzeniem 15.000 zlr. Pomnik ten — którego obraz dał *Świat* w tomie z 1888 r. (str. 461) — ma stanąć na Walach hetmańskich. Ukończony i wzniesiony będzie w roku przyszłym w końcu czerwca.

* W d. 7 października w Częstochowie odbędzie się ślub p. Wacława Anczyca, syna nieodżałowanego Władysława Ludwika Anczyca, z panną Waleryą Heggenbergerówną, córką ś. p. Marcelgo i Waleryi z Fischerów, siostrą pani Piotrowej Stachiewiczowej.

* Adam Asnyk powrócił z letniego pobytu w Zakopanem i na wsi.

* Felicjan Faleński, w przejeździe z Krynicy do Warszawy, zatrzymał się dni kilka w Krakowie.

* Władysław Maleszewski, redaktor *Biesiady Literackiej*, w przejeździe z Zakopanego do Warszawy, bawił w mieście naszym dzień jeden.

* Stanisław Barcewicz, znakomity skrzypek, otrzymał nominację na drugiego kapelmistrza orkiestry operowej w rządowym Teatrze Wielkim w Warszawie.

* Prof. Jan Zawiejski, twórca nowego teatru, oddając członkom miejskiej komisji teatralnej scenę do użytku na próby, silnie się potłukł, spadając do *zapadni*, nagle i niespodzianie przez maszynistę otworzonej. W chwili obecnej utalentowany artysta już czuje się lepiej, chociaż rękę prawą nosić musi jeszcze na opasce.

* Feliks Fryze, redaktor warszawskiego

Kuryera Porannego przebywał w naszym grodzie dni kilka.

* Piotr Stachiewicz wyjechał na dziesięć dni do Monachium. Znakomity artysta, zupełnie zdrowy po wypoczynku w Zakopanem, powróci wkrótce z Aten niemieckich.

* Michał Bałucki w ciągu upłynionych dwóch tygodni był ciężko chory. Teraz powrócił do zdrowia, ale jest jeszcze tak osłabiony, że pracować nie może, dopiero zatem w drugiej połowie bieżącego miesiąca zajmie się wykończeniem swoich »Ploteczek«, zapowiadających się nader świetnie.

* Leopold Méyet w przejeździe za granicę, bawił w Krakowie dzień jeden.

* Walery Eljasz powrócił z willegiatury do naszego miasta.

* Mieczysław Pawlikowski, przebywający w Francensbadzie — jak doniosła *N. Reforma* — ciężko zaniemógł. Jakkolwiek uzasadnioną jest nadzieja, że utalentowany pisarz zdrowie odzyska, rekonwalescencya jednak może przeciągnąć się dość długo.

* Panna Józefa Szlezycierówna, była śpiewaczka opery warszawskiej zamieszkała na stałe we Lwowie, gdzie otworzyła szkołę śpiewu.

* Paderewski, który wypoczywa obecnie w swojej willi w Moedling pod Wiedniem, napisał pięć nowych pieśni (do słów Mickiewicza), oraz rapsodyę polską na motywach ludowych osnutą. Pieśni wyżej wymienione wychodzą z tekstem oryginalnym i z przekładem niemieckim, dokonanym przez Dra Nosiga. Nadto znakomity wirtuoz ma komponować podobno obecnie operę z swojskich motywów ludowych.

* Przyszły naczelny reżyser nowego teatru p. Józef Kotarbiński przybył do Krakowa

i rozpoczął próby z nowozaangażowanymi artystami.

* Bolesław Ładnowski, po swoich występach gościnnych we Lwowie, które cieszyły się olbrzymim powodzeniem, w przejeździe do Warszawy, zatrzymał się w Krakowie dzień jeden.

* Reżyserę Teatru hr. Skarbka we Lwowie objął p. Roman Żelazowski. Nie wątpimy, że wymieniona scena odniesie na tem korzyść prawdziwą.

* Pani Teofila Nowakowska, która przed dwoma laty opuściła zawód teatralny, w tych dniach — ku ogólnemu zadowoleniu nader licznych wielbicieli swego wielkiego talentu — wróciła na scenę Teatru hr. Skarbka we Lwowie i wystąpiła w »Walce o byt« A. Daudeta. Nie potrzebujemy chyba dodawać, że występ wielce utalentowanej i sympatycznej artystki był prawdziwym tryumfem.

* Pani Marya Sewera (z Fabijańskich Włodarska), której występy przeszłoroczne zapowiadały talent prawdziwy, zaangażowaną została przez dyrekcję Teatru hr. Skarbka we Lwowie.

* Prof. Wojciech Gerson w fejetonach swoich o sztuce, pomieszczanych w *Kuryerze Warszawskim*, bardzo pochlebnie ocenia ostatnie krajobrazy Ludwika Stasiaka, podnosząc w nich wierne i piękne odtworzenie natury.

* Komisya teatralna krakowskiej Rady miejskiej na posiedzeniu swem w d. 20 września uchwaliła: zawrzeć jak najspieszniej kontrakt sześcioletni o wydzierżawienie teatru nowego z p. Tadeuszem Pawlikowskim; wnieść na najbliższym posiedzeniu pełnej Rady wybór dwóch członków komisji artystycznej, mającej rozciągać stały nadzór nad sumiennym spełnianiem przyjętych przez dzierżawcę teatru zobowiązań; pozostawić chwilowo w zawieszeniu propozycję pewnego przedsiębiorcy warszawskiego, pragnącego dostać czuć lornetek do miejsc droższych w widowni za stałą dopłatą 10 centów od lornetki; złożyć w ręce p. Wdowiszewskiego, inspektora teatru, sprawę ubezpieczenia gmachu teatralnego, oraz domu maszyn i malarni; umieścić w przedsiönku teatru tablicę pamiątkową z następującym napisem: »Gmina miasta Krakowa, wsparta pomocą kraju, ofiarnością Karola Kruzera, darem krakowskiej Kasy Oszczędności, gmach ten wznosił podług planu i pod kierownictwem budowniczego Jana Zawiejskiego, Krakowiannina, 1893 roku.«; umieścić popiersie ś. p. Karola Kruzera, wewnątrz gmachu w miejscu widocznym, które to popiersie wykonać ma p. Mieczysław Zawiejski; ułożyć program otwarcia teatru, czem zajmie się osobna ad hoc wybrana komisya, złożona z pp.: Dra F. Jakubowskiego, Asnyka, Muczkowskiego, Zolla i Knausa. Nadto komisya teatralna postanowiła otworzyć teatr uroczyste w d. 14 b. m. w południe, a wieczorem dać pierwsze przedstawienie (w połączeniu z rautem) i rozesłać na nie zaproszenia władzom autonomicznym i rządowym, Akademii Umiejętności, uniwersytetom, teatrom polskim, teatrowi w Pradze czeskiej, Burgteatrowi w Wiedniu, redakcyom dzienników i czasopism krakowskich. Gmina więc na dzień wymieniony zatrzymuje wszystkie miejsca w widowni i dla tego bilety — na ów spektakl galowy — przez dyrekcję teatru sprzedawane nie będą.

* Sprawozdawca teatralny *Gazety Lwowskiej*, jeden z najkompetentniejszych krytyków polskich w rzeczach scenicznych, bardzo pochlebnie ocenił występy krakowskich artystów dramatycznych, którzy w sezonie bieżącym zaangażowali się do Teatru hr. Skarbka.

* Galeryę portretów marszałków krajowych pomnożyć ma portret księcia Sanguszki, obecnego marszałka, malowany przez Kazimierza Pochwalskiego, który w celu wykonania wizerunku przybył do Lwowa.

* W końcu bieżącego miesiąca otwartą będzie w *salonie* Tow. Przyj. Sztuk Pięknych w Sukiennicach wystawa ogólna obrazów olejnych, pastel i akwarell Stanisława Janowskiego, utalentowanego i sympatycznego artysty-malarza, znanego dobrze czytelnikom *Świata*.

* Krakowskie Towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych daje na rok bieżący członkom swoim cenne premium. Jestto reprodukcya kolorowa znanego obrazu Kaspra Żelechowskiego, noszącego tytuł »Wywłaszczeni«, za który utalentowany artysta otrzymał złoty medal na wystawie paryskiej.

* Większa część obrazów polskich na wystawie w Chicago, znalazła nabywców. Byłoby ze wszech miar pożądanem utworzenie w Krakowie przy Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych agencji, pośredniczącej w handlu dziełami sztuki polskiej na rynkach amerykańskich.

* Na wystawie Tow. Przyj. Sztuk Pięknych w Sukiennicach (prócz dawniej wymienionych) zwracają na siebie uwagę różnaitością kierunków lub wartością rzeczywistą obrazy: Gierymskiego, Wojciecha Kossaka, Popowskiego i Stanisława Fabijańskiego. Tego ostatniego obrazek rodzajowo-historyczny z tłem zimowem, świadczy o niezapręczonym talencie, którego rozwój świetny zależy już obecnie tylko od szczęśliwych okoliczności.

* Jeden z najbardziej cenionych krytyków wiedeńskich, profesor Ilg, bardzo pochlebnie omawia w *Fressie* portret cesarza Franciszka Józefa, ofiarowany przez monarchę byłemu ambasadorowi angielskiemu Pagetowi, a malowany przez Kazimierza Pochwalskiego, nazywając naszego artystę przodownikiem współczesnego malarstwa portretowego.

* Wykłady na kursach kobiecych w muzeum im. Baranieckiego już się po części rozpoczęły. Znaczna ich liczba jednakże — jak zwykle zresztą — otwartą będzie dopiero w końcu b. m. w nowym lokalu przy ulicy Karmelickiej. Tylko lekcye rysunków, malarstwa olejnego i akwarelowego, tudzież modelowania z gliny, wraz z wykładami anatomii, perspektywy, historii sztuki, oraz nauki o stylach pozostaną nadal w Muzeum przemysłowem przy ulicy Franciszkańskiej.

* Pod dobrą wróżbą rozpoczęły się wieczory piątkowe w krakowskim »Związku literackim« w d. 22 września. Otworzył je prezes stowarzyszenia prof. Dr Józef Treliak bardzo pięknym odczytem o Kornelu Ujejskim. W dyskusji następnie głos zabierali: Dr Feliks Koneczny, Dr Z. Ehrenberg, Dr Beaupré i Zygmunt Sarnecki. »Związek« poruszy na swych dalszych wieczorach piątkowych całą seryę bardzo interesujących tematów z dziedziny nauki i literatury.

* Komitet, zarządzający kasą pomocy dla osób pracujących na polu naukowem imienia Dra Mianowskiego w Warszawie, przyznał pierwszą nagrodę za najlepszą pracę z zakresu nauk ścisłych, opublikowaną w ciągu ostatnich lat czterech, p. Władysławowi Natansonowi, autorowi »Wstępu do fizyki teoretycznej« i »O potencjach termodynamicznych«. Nagrodzony wystosował do komitetu pismo, w którym oświadcza, że poczytując samo orzeczenie sędziów za najcenniejszą nagrodę, którą z wdzięcznością przyjmuje, przyznaną mu sumę pieniężną składa jako ofiarę na cele kasy imienia Mianowskiego. Drugą nagrodę przyznano p. Ludwikowi Krzywickiemu za pracę p. t. »Kurpie« pomieszczoną w 1892 r. w *Bibliotece Warszawskiej*. Komitet zawiadamia nadto, że następne nagrody będą przyznane w 1897 r. za prace ogłoszone drukiem w latach: 1893, 1894, 1895 i 1896.

* Na nowej scenie *Théâtre des poètes* w Paryżu, ma być przedstawioną — między innymi dziełami — »Balladyna« Juliusza Słowackiego, w przekładzie francuskim.

* »Flirt« Michała Bałuckiego w przekładzie

rosyjskim, przedstawiono w tych dniach z powodzeniem na scenie teatru Korsza w Moskwie. Tę samą komedję grać będzie wkrótce — w innem tłumaczeniu — cesarski Teatr Mały w Moskwie.

* Raut w Zakopanem na fundusz pomnika A. Grottgera, dany i urządzony w sierpniu pod kierownictwem: Piotra Stachewicza, Kazimierza Pochwalskiego i Walerego Eljasza, a połączony z przedstawieniem żywych obrazów i loteryą fantową, w której główną atrakcyę stanowiły szkice i rysunki artystów polskich, przyniósł czystego dochodu 842 złr. 70 cent. Kwotę tę złożono na książeczkę Kasy Oszczędności.

* Drukarnia i Litografia Pillera i S-ki, założona w 1773 r. przez Józefa Pillera, obchodziła uroczyste w d. 18 września sto dwudziestą rocznicę swego istnienia. Jednym z współwłaścicieli tej słynnej typografii jest znany publicysta i literat Liberat Zajączkowski.

* Jak donosi *Czas* towarzystwo dramatyczne nowego teatru krakowskiego składać się ma z następujących artystek: Dubielówna, Eckertowa, Grodzka, Heleńska, Konicka, Koźmin, Leszczyńska, Matuszewska, Morska, Nawrocka, Rajkowska, Szrage, Trapszówna, Truskawska, Trzczińska, Wajdowska, Wójcicka, Wojnowska, Wolska, Wyrwiczówna, Zawadzka; oraz artystów: Chądzyński, Danielewski, Dorowski, Feliksiewicz, Geldner, Grabowiecki, Jarszewski, Jejde, Kamiński, Knake-Zawadzki, Kotarbiński, Lubicz, Milewski, Popławski, Przybyłowicz, Rychter, Rygiel, Śliwicki, Sobiesław, Solski, Stępowski, Szobert, Swaryczewski, Tatarkiewicz, Walczak, Węgrzyn i Wójcicka. — Pani Antonina Hoffmanowa, jakkolwiek do stałego składu personalu nie należy, przyrzekła jednakże od czasu do czasu na scenie teatru nowego występować. — Program pierwszego przedstawienia ma być następujący: 1) *Wiersz wstępny* pióra mistrza współczesnej poezji polskiej Adama Asnyka (*El...y'ego*); 2) jeden akt »Balladyna«; 3) »Marcowy kawaler«; 4) jeden akt »Zemsty«; 5) jeden akt »Konfederatów barskich«.

* Alfred Szczepański pisze do *Czasu* co następuje: »Już na trzech wystawach miała sztuka polska swój osobny polski oddział: w Berlinie, w Wiedniu (na wystawie muz.-teatr.) i w Chicago. W roku przyszłym przypada znowu w Wiedniu wielka międzynarodowa wystawa, więc należałoby zawczasu pilnować, aby porozumieć się i uzyskać osobny polski oddział, czyli takie ugrupowanie utworów naszych artystów, żeby tworzyły odrębną całość, żeby tem samem właściwości naszej sztuki na jaw wyszły. Za tem idzie, że w katalogu wystawy, polskie obrazy tworzyłyby także osobną całość. Ażeby to uzyskać, gdzie nie ma państwa, któreby do tego miało prawo, jest tylko jeden sposób: utworzyć w Wiedniu osobny komitet dla sztuki polskiej; komitet, któryby był jedynym pośrednikiem między naszymi artystami z Krakowa, ze Lwowa, z Poznania, z Warszawy, z Monachium, z Paryża, z Rzymu, a dyrekcją Künstlerhausu. Komitet taki miałby prawo stawiać warunki, umawiać się o sale i zarządzać sam rozwieszaniem obrazów. Prawo rozwieszania jest bardzo ważnem, gdyż na złem rozwieszaniu zawsze nasi artyści cierpią. Do komitetu takiego powinni by należeć artyści i delegaci naszych Towarzystw sztuk pięknych, ale zarazem dwóch lub trzech wybitnych wiedeńskich recenzentów, jak np. Ranzoni i Hevesi. Komitet taki, w porę zawiązany i należycie umocowany, byłby w stanie uzyskać wszystko, czego potrzeba i wytworzyłoby się nasze zwyczajowe prawo.«

* Kierownik Teatru Różnaitości w Warszawie, oprócz paru najświeższych utworów tłumaczonych i kilku dzieł klasycznych wznówić się mających, wystawić zamierza w bieżącym sezonie cały szereg nowych i niezna-

ných jeszcze w stolicy dzieł oryginalnych a mianowicie: »Jakóba Warkę« dramat Daniela Zglińskiego, »Ostatni akt« dramat Teodora Jeske-Choińskiego, »Dla dobra ogółu« komedję Jordana (Juljana Wieniawskiego), »Hrabiego Jerzego« dramat St. Graybnera, »Letników« komedję Zyg. Przybylskiego, »Kropkę nad i«, komedję Michała Wołowskiego, »Ploteczki« komedję Michała Bałuckiego i »Pannę z posagiem« komedję Józefa Blizińskiego, którą obecnie pierwsi drukujemy w *Świecie*. Ze sztuk wymienionych powyżej dwie (»Jakób Warka« i »Hrabia Jerzy«) przedstawiane już były na scenie starego teatru krakowskiego w upłynionym sezonie.

* P. Kwieciński, dyrektor teatru w Stanisławowie, wzmocnił towarzystwo swoje zaangażowaniem kilku artystek i artystów. Nadto zakupił u p. Gliksona całą garderobę, meble na scenę i część biblioteki; reżyserem zaś zamianował p. Antoniewskiego z Krakowa.

* W klasie dykcji i deklamacji przy warszawskim Towarzystwie muzycznym, po wyjeździe p. Józefa Kotarbińskiego wykładac będą: Maryan Gawalewicz, Wincenty Rapacki i p. Henryk Grubiński, artysta Teatru Małego w Warszawie.

* Wydawnictwo krakowskiego *Kuryera Polskiego* przeszło na własność spółki akcyjnej. Kierownictwo objął p. Kazimierz Przerwa Tetmajer, znany utalentowany poeta.

* Drugi już miesięcznik rosyjski *Siewiernyj Wiestnik* rozpoczął druk przekładu powieści Henryka Sienkiewicza »Rodzina Połanieckich«. Nadto tenże sam przegląd w zeszycie sierpniowym pomieszcza obszerny rozbiór krytyczny nowelli twórcy »Ogniem i mieczem«. Autor pracy tej p. Kriwoszejew, nieograniczając się na utworach Sienkiewicza, w recenzji swej daje równocześnie ogólny pogląd na współczesną literaturę polską, na jej prądy i kierunki. Z wymienionego studium wieje życzliwość, bez uprzedzeń.

* Coraz szczęśliwiej rozwijająca się »Biblioteka Powszechna«, wydawana nakładem Wilhelma Zukerkandla w Złoczowie, w ostatnich swych tomikach od 81—90 mieści: Trzecią część »Podróży Gulliwera« *Swifta*; powieść społeczną *Fr. Rawity* »Błędne ogniki«; »Wieczorne pieśni *Witostawa Haleka* w przekładzie *Władysława Bęży*; *Cycerona* »Mowę za poetą Archiasem« w tłumaczeniu *E. Rykaczewskiego*; gawędę starszlachecką *Jana Zacharyasiewicza* »Nieboszczyk w kłopotach« i »Noc letnią« *Zygmunta Krasińskiego*. Jak widzimy, wybór dokonany starannie.

* Dziennik *Russkije Wiedomosti* zapewnia, że Włodzimierz Spasowicz zamierza zupełnie porzucić zawód obrońcy sądowego i niepodzielnie poświęcić się literaturze.

* Mamy na naszym stole 76 zeszyt »Wielkiej encyklopedyi powszechnej«, przyozdobiony licznymi ilustracjami i jak wszystkie poprzednie, odznaczający się sumiennem opracowaniem.

* Portrety artystek »starego« teatru krakowskiego mamy w jednym z następnych zeszytów *Świata*.

BIBLIOGRAFIA.

»Dawne dzieje« przez *Aleksandra Wybranowskiego*. — (Z teki pana Chorążego. — Ze starych wspomnień. — Korespondencya pana Chorążego. — Jeszcze o starych aktach. — Lat temu czterdzieści sześć). — W Krakowie. Nakładem księgarni Spółki Wydawniczej Polskiej. 1893.

Autor pamięta dosyć dawne czasy, a przede wszystkim znał mnóstwo osób z początku bieżącego i końca ubiegłego wieku. Musiał to być umysł od młodu obserwacyjny, bo bystro oceniał i rozumiał ludzi; serce zaś jego prawdopodobnie gorąco kochało przeszłość, zni-

kającą i zacierającą swe charakterystyczne znamiona w oczach najmłodszych pokoleń, niezdających już sobie należytej sprawy z twarzy, postaci i ducha ojców i dziadów. Zapisywał pilnie wszystko co o minionych latach i dawnych ludziach zasłyszał; chował akta stare, rachunki, korespondencye. Dużo tego widocznie przesunęło się przez jego ręce. Z materiału w części przeżytego, po części zaś uzbieranego, wysnuwa obecnie bardzo interesujące obrazki, stanowiące barwne ilustracye do upłynionych czasów i obyczajów nie naszych. W obrazkach tych odbija się jak w zwierciadle życie szlachty, jej zajęcia, mania procesów, zabawy, nalogi i cnoty tradycyjne, a przytem na tle z wielką prawdą malowanym zjawiają się także figury — chociażby tylko z nazwiska — więcej ogółowi szerszemu znane. Język jędrny, charakterystyka wyrazista, opowiadanie niemal ciągle płynące wartkim potokiem — tworzą całość ciekawą i sympatyczną.

»*Bajkow*«. — Z kartek pamiętnika rękopiśmiennego. (1824—1829) przez *A.* — Lwów. Drukarnia Wł. Łozińskiego. 1893.

Gdyby nie trzecia część »*Dziadów*«, niktby nie wiedział nic o Bajkowie. Postać ohydneho rozpustnika, inkwizytora i kata, utonęłaby w niepamięci, przesłonięta tysiącami wizerunkami innych ciemniejszych i oprawców, równie jak on cynicznych i równie nikczemnych. Ale wielki poeta w jednym ze swych arcydzieł naszkicował jego sylwetkę w przelocie i sylwetka ta pozostanie wiecznie żywa, realna, historyczna. Jednym dowodem więcej tej prawdy jest znaleziony obecnie rękopis z lat 1824—1829, obejmujący własnoręczny pamiętnik Bajkowa. Pozwala nam on zapoznać się bliżej z potworem i skonstatować, że Mickiewicz wieszczą intuicyą pojął i mistrzowskim realizmem odtworzył wstrętnego faworyta Nowosilcowa. Wydawca dopełnił pamiętnik — składający się z krótkich notatek, kreślonych z dnia na dzień — bardzo interesującymi rozdziałami własnych badań krytycznych, dotyczących tak samego Bajkowa, jak i Zofii z Chłopickich Klimanińskiej, której charakterystyka i odrodzenie moralne jest jednym z najciekawszych ustępów tej czarnej i smutnej, ale cennej i doskonale ułożonej książki.

Juljan Morosz. — »*Na scenie i za kulisami*«. — Historia parafialna. — Warszawa. Nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki. 1893. — Kraków. L. Zwoliński i S-ka.

Jest to ładnie i zajmująco opowiedziana historia prawdziwej miłości, tudzież dzieje salonowego podolsko-ukraińskiego flirtu. Dodać musimy, że miłości prawdziwej w całym opowiadaniu bardzo mało, a flirtu dużo — ale tak udatnie i wytwornie odtworzonego, że gdyby tu i owdzie styl był nieco kunsztowniejszy, a szczególnie nie zeszpecony zbyt często powtarzającymi się kliszami banalnych frazesów i jeszcze banalniejszych przymiotników przy rzeczownikach: usta, oczy, ramiona, i t. p. można śmiało nazwać powieść małym arcydziełem swojego rodzaju. Wśród zdarzeń i scen, wysnuwających się z siebie z wielką łatwością, prostotą i artyzmem — a ciągle bardzo interesujących — dźwięczy jako nuta dominująca urocza zmysłowość, wytwarzająca na wskroś kobiecą symfonię, taktownie uharmonizowaną na tle tonacji: szlachetnej dumy niewieściej i uczuć małych, ale wcale niepowszednich, którym cichuteńko, z poza kulis książki wtóruje żartobliwa melodia Offenbachowskiej operetkowej piosenki: »Ach! jacy ci mężczyźni głupi!« Wtór jednak nie przekracza granic przyzwoitości i estetycznego smaku; należy go się nieustannie domyślać; tylko delikatne i wrażliwe ucho dosłyszycie ironiczny jego śmieszek brzmiący pianissimo przy silniejszych akordach poezji tematu. Bo bądź co bądź temat ten posiada swoją poezję. Słowem

»Na scenie i za kulisami« w dziedzinie wyższej sztuki jest niezawodnie zaledwie drobnostką, ale drobnostką śliczną. Już dawno nie czytaliśmy powieści polskiej tak oryginalnie i wytwornie skomponowanej; błędą przy niej wszystkie inne opowiadania flirtowe ostatniej doby. Szkoda, że dłoń, która nakreśliła utwór tak wiele obiecujący, zastygła na zawsze. Autorka — ukrywająca się pod pseudonimem Juljana Morosza — nie żyje.

»*Borys*«. Baśń starosławiańska przez *T. J.* z *za Buga*. — Wydał Feliks Wesołowski. — Kraków. G. Gebethner i Spółka. 1893.

(*w. m.*) Duży poemat, świadczący o niezaprzeczonem talencie autora, który nie rachował się z obojętnością ogółu dla dzisiejszej, najnowszej poezji, zwłaszcza podanej w tak wielkiej dozie i w obsłonie domyślników. Forma udatna, obrazowanie wdzięczne lub plastyczne, przedmiot interesujący.

NEKROLOGIA.

* W d. 24 września po krótkiej lecz ciężkiej chorobie zmarł w Krakowie *Adam Miłaszewski*, znany dobrze w całej Polsce artysta dramatyczny i kierownik naczelny trzech teatrów. W r. 1850 debiutował we Lwowie. W Krakowie objął rolę »lekkich amantów« w 1854 r. Następnie wystąpił w Teatrze Rozmaitości w Warszawie w »Pamiętnikach szatana« w roli Robina, ale nie gościł długo na scenie stołecznej. Udał się następnie do Wilna; potem do Kijowa i Kamieńca podolskiego, gdzie grywał rolę »bohaterów« (*premiers sujets*). W końcu powołany przez *J. I. Kraszewskiego* objął dyrekcję teatru w Żytomierzu. Następnie kierował teatrem krakowskim od 1 października 1863 r. do 4 maja 1865 i niemal równocześnie, bo w d. 20 marca 1864 r. podjął się dyrektorstwa w teatrze lwowskim. Nie mogąc jednak podolać nadmiernej pracy zrzekł się dyrekcji w Krakowie. Na stanowisku swoim we Lwowie wytrwał do d. 24 marca 1872 r. Sprzyjało mu ciągle stałe powodzenie. Następnie raz jeszcze w 1881 r. objął kierownictwo Teatru hr. Skarbka, ale po dwóch latach pracy sam dobrowolnie ze stanowiska ustąpił. Bardzo piękny mężczyzna, o głosie dźwięcznym, ruchach swobodnych, cieszył się w młodości swojej powodzeniem jako aktor. Dyrektorem był czynnym, śmiałym, ryzykującym, gromadzącym zwykle w około siebie liczne towarzystwo. Była chwila, kiedy na scenie lwowskiej pod jego kierownictwem jaśniały talenty tej miary co: Teofila Nowakowska, Romana Popielówna, Zamojski, Leszczyński, Wilkoszewski, Henig, Szymański, Linkowski i w. i. Od dwunastu lat mieszkał w Krakowie, gdzie umiał zjednać sobie liczne grono przyjaciół i ogólną sympatię.

* W d. 25 września rozstał się z tym światem w Krakowie *Antoni Plachecki*, profesor konserwatorium muzycznego. Obdarzony niezwykłym darem muzykalności, smakiem bardzo wykwiutnym i sądem pewnym, cieszył się wielkim uznaniem w gronie muzyków krakowskich, a jako człowiek zasłużył sobie na ogólny szacunek.

* W Krakowie zmarł *Stanisław Cichocki*, żołnierz z 1863 r. Trudnił się urządzeniem ruchomych wystaw obrazów naszych artystów w miastach prowincjonalnych galicyjskich, oraz za granicą. Odznaczał się niezwykle pięknymi rysami twarzy i męską, wspaniałą postawą. Był bardzo znany w kołach artystycznych. Mistrz Matejko odtworzył go w swym słynnym obrazie, wyobrażającym Wernychorę.

* W Warszawie rozstała się z tym światem *Antonina z Boguckich Piasecka*, nowellistka, pisująca pod pseudonimem »Poczwarki«. W ostatnich latach pracowała stale w redakcji *Echa muzycznego*.